

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

ROK IX. MAJ 1933 NR. 9.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK IX. KRAKÓW, MAJ 1933 Nr. 9.



PROFESOR IGNACY MOŚCICKI
NOWOWYBRANY (ponownie) PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

MOŚCICE

ARTYKUŁ ŁASKAWIE NAM PRZYSŁANY PRZEZ PANA MINISTRA KWIATKOWSKIEGO

Mościce, miejscowość, w której zrealizowana została twórcza myśl Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego, mianowicie budowa Państwowej Fabryki Związków Azotowych, otrzymała nazwę swą od Jego nazwiska i na Jego cześć.

Wiadomo, że roślinom do życia i wzrostu potrzebny jest, oprócz światła słonecznego, wody, bezwodnika kwasu węglowego i tlenu, również i azot, który czerpie z gleby. Azot ten czerpią one w formie związków azotowych i dlatego jest go w glebie coraz mniej, niedobór jego musimy więc uzupełniać doprowadzając go pod postacią nawozów. Takie nawozy azotowe sztuczne wyrabia fabryka w Mościcach. W Polsce trzy czwarte ludności utrzymuje się z rolnictwa, dlatego przemysł azotowy można uważać za jeden z najbardziej podstawowych przemysłów dla naszego życia gospodarczego.

Jadąc pociągiem z Krakowa, przed dojazdem do Tarnowa, po minięciu mostu na Dunajcu, widzimy z okien wagonów ustawione w zwartym szeregu potężne bloki budynków fabrycznych, nad któremi strzelają w niebo dwa 115-cie metrów wysokie kominy. Olbrzymie zbiorniki gazowe i drewniane wieże chłodni wodnych uzupełniają ogólny obraz. Śmiałe rzuty prostych linij wyrastają nagle z płaskiego monotonnego krajobrazu, tak jak odrazu i nagle wyrosła fabryka mościcka.

Obejrzyjmy ją z bliska. Podstawowe surowce czerpie fabryka z przyrody, gdzie znajdują się w nieograniczonej ilości. Jest to powietrze i woda. Powietrze dostarcza azotu, woda zaś wodoru, dwóch pierwiastków wchodzących wskład wszystkich prawie, wytwarzanych przez fabrykę związków azotowych. Poza surowcami, głównym czynnikiem w procesach chemicznych, niemniej jak w całym procesie fabrykacyjnym, jest energja, zużywana we wszystkich jej postaciach: mechanicznej, cieplnej i elektrycznej. Energję tę czerpie fabryka z własnej elektrowni. Tam to w kotłowni znajduje się źrodło tej energji, wyzwalanej ze spalanego na rusztach kotłów miału węglowego. Nie widać tu, jak w starych kotłowniach palaczy wrzucających łopatami węgiel do otwartych czeluści palenisk ziejących żarem. Wszystko odbywa się mechanicznie. Wolno i bezhałaśnie poruszają się ruszty, na które zsypuje się miał węglowy z zawieszonych pod pułapem lejów. Obsługi prawie nie widać — aparaty kontrolne rejestrują to, co się wewnątrz kotłów dzieje. Para przegrzana posiada temperaturę 410° i ciśnienie 24 atm. Mijamy pompy zasilające kotły i skraplacze, kłębowiska dużych izolowanych rur, poprzecinane olbrzymiemi zaworami. Po schodach wychodzimy z kotłowni do ogromnej oszklonej, pełnej światła hali, w której mieszczą się turbiny parowe, napędzające generatory prądu elektrycznego. Tutaj energja pary zamienia się w energję elektryczną, rozprowadzoną żyłami kabla po całej fabryce. Jak ta energja rozdziela się na poszczególne miejsca zużycia, jeszcze nie wiemy — ale jeżeli wejdziemy do pięknej sali, rozdzielni oświetlonej od stropu, o ścianach wyłożonych białym marmurem, na których rozmieszczone są instrumenty miernicze i różnobarwne światła kontrolne, przestanie to dla nas być tajemnicą. Tutaj znajdują się główne wyłączniki dla odbioru i rozdziału prądu. Cisza panująca na sali nastraja niemal uroczyście.

Opuściwszy elektrownię, przechodzimy główną drogą do wytwórni gazu wodnego. Tutaj z wody, mianowicie z rozkładu pary wodnej, dmuchanej okresowo na rozżarzony koks, w tak zwanych generatorach gazowych, powstaje gaz wodny, zawierający mieszaninę wodoru H i tlenku węgla CO, znanego ogólnie jako czad. Tlenek węgla

nie wchodzi w skład związków azotowych, jest on tylko pomocniczym składnikiem gazu wodnego, z którego pomocą odbywa się wzbogacenie gazu wodnego, w wodór, w dalszym z kolei urządzeniu, do którego doprowadza się również parę wodną. W urządzeniu tem tlenek węgla utlenia się na dwutlenek węgla dzięki tak zwanemu katalizatorowi. Tlen pobiera z rozłożonej na pierwiastki pary wodnej, przyczem pochodzący z rozkładu pary wodnej wodór wzbogaca gaz. Katalizatory są to „tajemnicze substancje", bez których pewne procesy chemiczne nie mogłyby się odbywać. Są one dla produkcji niemniej potrzebne jak surowce, ale różnią się od surowców tem, że choć w procesach chemicznych biorą czynny udział, same przytem nie ulegają istotnym zmianom chemicznym. Są one niejako pośrednikami przy kojarzeniu związków.

W gazie wodnym pozostał dwutlenek węgla, czyli t. zw. bezwodnik kwasu węglowego, niepotrzebny do dalszej produkcji. Musi się go usunąć przez wymycie pod ciśnieniem, w wieżach zraszanych wodą, przyczem woda ta nasyca się bezwodnikiem, według tych samych praw fizyki, na jakich oparty jest wyrób wody sodowej. Pozostaje więc z gazu wodnego prawie czysty wodór.

Drugi podstawowy pierwiastek, azot, otrzymuje się z powietrza metodą Lindego. Powietrze spręża się, ochładza wstępnie zapomocą t. zw. chłodzarek amonjakalnych t. j. maszyn wytwarzających zimno i odpręża się, dzięki czemu powietrze w odpowiednich aparatach dochodzi do tak niskiej temperatury (ok. 190 C⁰), że przechodzi w stan ciekły. Z powietrza skroplonego można oddzielić azot, gdyż jest bardziej lotny od tlenu, drogą destylacji, a więc na podobnej zasadzie, jak się oddziela alkohol od wody.

Mając wodór i azot, mieszaninę tych dwu gazów w odpowiednim stosunku, spręża się do ciśnienia około 250 atm. w dużych sprężarkach, z których każda zużywa moc tysiąca koni mechanicznych. Ta sprężona mieszanina dostaje się do ogromnych bomb czyli kolumn, wypełnionych rozżarzonym katalizatorem, i dzięki jego kojarzącym własnościom azot i wodór dwa pierwiastki, łączą się w jeden związek chemiczny, amonjak. Jest to pierwszy i podstawowy związek azotowy, ogólnie znany ze względu na przenikliwą woń, jaką się odznacza.

Amonjak, który uzyskuje się z tak zwanej syntezy, t. j. procesu opisanego powyżej jest gazem i gaz ten przez duży zbiornik, rozchodzi się rurami do dalszych oddziałów fabryki, gdzie przerabia się go na bardziej złożone związki azotowe. I tak przez zmieszanie amonjaku z powietrzem i przepuszczenie go przez cieniutkie, a gęste jak jedwab, siatki z drucików platynowych rozżarzone, spala się go na tlenki azotu, a te rozpuszcza w wodzie w zespole w dziewięciu wież systemu Pana Prof. Mościckiego, posiadających specjalną budowę i system zraszania.

Amonjak jest zasadą — jeżeli go więc zetkniemy z kwasem azotowym, zobojętnią się one wzajemnie, tworząc roztwór soli kwasu azotowego, zwanej saletrą amonową. Roztwór ten podgęszcza się, a wypuściwszy go do odpowiednich naczyń otwartych, zaopatrzonych w mieszadła, otrzymuje się po wysuszeniu świeżo biały kryształ. Kryształ ten po zmieszaniu z mielonym kamieniem wapiennym, tworzy nawóz, zwany w handlu saletrzakiem, który zawiera około 15.5 proc. N.

Kamień wapienny służy również do wyrobu tak zw. saletry wapniowej. Mianowicie kamień wapienny rozpuszcza się w kwasie azotowym, przez co otrzymuje się roztwór soli kwasu azotowego, zwanej saletrą wapniową. Roztwór ten zapomocą ogrzewania parowego podgęszcza się podobnie jak się to czyni z roztworem saletry amonowej i tłoczy się na szczyt wielkiej okrągłej wieży t. zw. wieży granulacyjnej. U szczytu tej wie-

ży znajduje się urządzenie do rozbryzgiwania tego podgęszczonego roztworu, u dołu zaś wprowadza się do niej ochłodzone powietrze. Rozbryzgany u góry roztwór opada z wysokości 25-cio metrowej wieży na dno, już w kształcie podobnym do małych białych kulek gradowych. Jest to t. zw. saletra wapniowa granulowana. Zawiera ona również 15.5 proc. N., a więc dzięki swojej charakterystycznej formie daje się wygodnie rozsiewać.

Fabryka mościcka posiada jeszcze wytwórnię siarczanu amonowego t. j. związku, który powstaje przez zobojętnienie amonjaku nie zapomocą kwasu azotowego, lecz kwasu siarkowego. Związek ten posiada postać białej soli krystalicznej, jest również nawozem, a posiada wyższą zawartość azotu, około 21 proc. N. Na wiosnę i w jesieni, kiedy rolnicy zakupują nawozy azotowe widać w Mościcach tory kolejowe zastawione długiemi rzędami pustych wagonów kolejowych, jadących po ładunek, a z fabryki wyjeżdżają długie pociągi pełnych wagonów, rozwożących nawozy wzdłuż i wszerz Rzeczypospolitej.

Bujne, o silnych pędach i soczystej zieleni lany, to obszary nawożone azotem. Rokują one obfite plony, dobrobyt, zadowolenie. Odbijają one zupełnie wyraźnie od nikłych, marnych obszarów nienawożonych.

Myśl rozbudowy własnego przemysłu azotowego zrealizowana budową Fabryki Związków Azotowych w Mościcach, to olbrzymi skok w wyścigu pracy i walki o dobrobyt Polski.

DR. ZDZISŁAW SIMCHE.

TARNÓW



Mauzoleum gen Bema. *Fot. St Siwik.*

Tarnów, centrum handlowo-administracyjne, liczące około 50 tysięcy mieszkańców, leży w powiecie silnie rolniczym. Stosunki handlowe miasta nie ograniczają się do obsługiwania sąsiednich rolniczych powiatów, ale nawiązane są zdawna z licznemi regjonami Polski; poważny jest eksport i import zagraniczny. Światowy kryzys gospodarczy ograniczył ekspanzję handlową miasta, mimo to poszczególne gałęzie handlu są dość ożywione. Na wielką skalę jest rozwinięty przemysł odzieżowy, oraz handel temi artykułami, handel inwentarzem żywym i artykułami pochodnemi (wywóz jaj i bekonów do Anglji). Dużą rolę odgrywa przemysł ceramiczny (7 zakładów) i młynarski, oraz eksport drzewa nieobrobionego, oparty o 3 tartaki.

Miasto jest poważnym rynkiem pracy. Codziennie dochodzi i dojeżdża tu ponad półtora tysiąca ludzi, których duży odsetek skupiają warsztaty kolejowe. Pozatem czynne są w Tarnowie mniejsze fabryki i zakłady rękodzielnicze.

Jako stolica powiatu, mieści Tarnów sporo urzędów, co mocno waży na sile atrakcyjnej miasta. Dobrze rozbudowane

szkolnictwo średnie, przyczynia się do ożywienia ruchu i zwiększenia zaludnienia miasta. Średnich zakładów naukowych jest w Tarnowie dwanaście, ponadto seminarjum duchowne. W gimnazjach, seminarjach i szkole handlowej uczyło się w r. szkol. 1929—30 niemal 3 tysiące młodzieży. Z tego dzieci miejscowych rodziców stanowiły 52 proc.; na stancjach mieszkało 30 proc., dojeżdżało codziennie lub dochodziło aż 19 proc. Cyfry te są miarą poważnego wpływu szkolnictwa tarnowskiego, na sąsiednie powiaty.

Niewiele ostało się w Tarnowie zabytków godnych widzenia, a dwa zaledwie są na miarę europejską. Pierwsze — to bogate i wartościowe zbiory muzeum diecezjalnego, pozostające pod opieką zasłużonego księdza prałata dr. Bulandy. Okazy sztuki kościelnej średniowiecznej, stanowią jeden z najcenniejszych zbiorów w państwie. — Drugie, to grobowce Tarnowskich w kościele katedralnym. Renesansowy pomnik hetmana Jana Tarnowskiego i jego syna, w układzie figuralnym przedstawia wartość równorzędną, a ponoć i wyższą, niźli w grobowcach zygmuntowskich w katedrze wawelskiej. Prócz tego jest w katedrze prześliczny renesansowy grobowiec Barbary z Tęczyna Tarnowskiej, na którym zmarła jest przedstawiona w postaci leżącej, kobiety śpiącej. Ma to być najpiękniejszy tego rodzaju grobowiec w stylu odrodzenia na północ od Alp.

Muzeum mieści się w renesansowym (uprzednio gotyckim) ratuszu, który jest wielce podobny do sandomierskiego. Restaurował go w XVI wieku Jan Marja Padovano, twórca grobowca Tarnowskich, który odnawiał też krakowskie Sukiennice.

Na uwagę zasługuje kilka starych baszt miejskich. — Miłe są dwa stare kościółki: N. P. Marji z XV wieku i św. Trójcy z 1562 roku. Nierzadkie są też zabytki starego budownictwa miejskiego, nawet gotyckiego. Z nowszych budowli najbardziej godnem widzenia jest mauzoleum gen. Bema w ogrodzie miejskim, następnie nowocześnie urządzona rzeźnia i fabryka bekonów, oraz warsztaty kolejowe.

Okolica Tarnowa nie przedstawia wiele atrakcyj z punktu widzenia turystycznego. Obszar niziny sandomierskiej, na północ od miasta — to kraina zlekka falista, pokryta nierzadko piachami i wydmami, utkana kępami sośniny, czasami moczarowata. W dolinie Dunajca skupienie wsi znaczne, dzięki żyzności gleby. W Żdżarach na północny-wschód od miasta — śliczny las.

Teren na południe od miasta, to już pogórze karpackie. Na skraju, na progu podkarpackim, widnieją ruiny zamku hr. Tarnowskich. Opodal — najstarszy w okolicy, jeszcze z przed XIII wieku, ponoć z XI-ego, przepiękny z zewnątrz kościółek św. Marcina. Owiany jest legendą, że głosił w nim słowo boże św. Wojciech, i że ołtarz poświęcał w nim św. Stanisław ze Szczepanowa.

Na południu, w Łowczówku — pięknie położony cmentarz legjonistów polskich, poległych tu w wojnie światowej. Na zachód, koło Zakliczyna, w najpiękniejszej krajobrazowo okolicy Tarnowa, widnieją ruiny zamku melsztyńskiego, na górze, podmywanej wodami Dunajca, — z drugiej strony miasteczko Czchów ze ślicznym starym rynkiem i kościołem; niedaleko wyniosła, dumna baszta czchowska, oraz pełen uroku przełom Dunajca ze słynnem Tropiem i Rożnowem.

Na zachód od Tarnowa, w odległości 3 km. znajduje się Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach, której dwa kominy 115-sto metrowe są najwyższemi w Polsce. Jej sąsiedztwo stale nam przypomina rolniczy charakter kraju, oraz konieczność jego obrony przed zakusami wrogów.

ANIELA PISZOWA.

Z HISTORJI I LEGEND TARNOWA



Tarnów Kościół katedralny

Na terenie podgórza karpackiego rozrosło się miasto Tarnów, którego historyczna katedra dominuje na terasie 226 m. n. p. m., — Powiat tarnowski, granicami województwa krakowskiego objęty, liczy 84 gminy na 140 klm², dawnej puszczy „bezpańskiej".

Brak notatek kronikarskich nie pozwala ściśle określić czasu powstania Tarnowa, jednak układ geologiczny i morfologja „garbów" terenu dowodzą, że był jedną z pierwszych osad ludzkich w tych stronach.

Najwyższem wzniesieniem „tarnowskiego progu karpackiego" jest Góra św. Marcina, wykazująca w przekroju kilka cyklów układu i ujawniająca mięszaninę flory leśnej, z której obfity tu niegdyś modrzew, na budulec używany, dziś zaledwie grupkami się pojawia.

Czem jest Tarnów dzisiejszy, wiedzą współcześni, o tem jak powstał, mówią legendy, z których jedna związana jest ściśle z protoplastą rodu hr. Tarnowskich, *Spytkiem z Dębna, herbu Leliwa.*

W czasach, gdy podgórze karpackie było obfitującą w zwierza puszczą, a górę św. Marcina opływał Dunajec, polował tu młody Spytek, syn właściciela tej ziemi, darowanej mu przez Łokietka.

Gdy słońce skłaniało się ku zachodowi, przydany Spytkowi za towarzysza Dersław, zaproponował rozbicie namiotu na szczycie góry, którą odznaczał dąb ogromny. Doszedłszy doń Spytek, z ciekawością zaczął oglądać niezwykłej miary drzewo. Po chwili wskazał na ukrytą w zagłębieniu pnia, z kamienia wyciosaną postać ludzką.

Dersław przeżegnał się i splunął, by „odczynić uroki", poznał bowiem, że to bożek pogański, Spytek jednak rzekł z uśmiechem:

— Boisz się? — ja się nie boję, — przecie krzyżyki święcone mamy na piersiach — i ułożył się spokojnie do snu.

O świcie znaleźli kamień ofiarny i opalone szczątki kości zwierzęcych, co stanowiło dowód, że kamienna postać to posąg Perkuna, na którego cześć odbywały się tu krwawe całopalne ofiary. Spytek nie długo patrzył na ten starosłowiański zabytek.

— Ach, jak tu cudnie! Żeby tak dworzyszcze zbudować tu można! — zawołał i począł badać ślady dawnych ścieżek. Przerwał nagle to badanie, gdy ujrzał na Dunajcu kołyszący się korab, z błyszczącym u szczytu znakiem. Radosny jego okrzyk zgromadził towarzyszy ło-

wów. Ze zdumieniem patrzyli na party falami budynek, który jakby niewidzialną dłonią kierowany, zatrzymał się u stóp góry.

Padli wszyscy na kolana, widząc, że to był kościółek z wieżyczką i krzyżykiem.

— Cud! — cud! — wołali, a Spytek ręce ku niebu podnosząc, rzekł:

— Ślubuję Ci, Panie Boże, że miejsce to, w którem fałszywe bóstwo panowało, na Twoją chwałę poświęcę i póki życia mego i mojego rodu, odbywać się tu będzie bezkrwawa Ofiara Twego Ciała i Twej krwi Przenajświętszej!

I dotrzymał przysięgi. — Modrzewiowy kościółek stanął na szczycie góry, a gdy pewnego dnia w obłoku mgły spłynął nań z przestworza wizerunek św. Marcina, umieścił go Spytek w ołtarzu i zarówno kościół, jak górę nazwał Jego imieniem.

Druga wersja tej legendy opiewa, że budynek przyniesiony przez rzekę Białą (nie Dunajec), był starą gontyną słowiańską, a w drzwiach jej stała niezwykłej urody złotowłosa dzieweczka, wzywająca ratunku wobec wezbranych fal rzeki. Spytek zbiegł ze wzgórza, a wbiwszy topór myśliwski w ścianę gontyny, zatrzymał ją w miejscu. Uratował dziewczę złotowłose, które pojął za żonę, a gontyna na szczyt góry wciągnięta i znakiem krzyża opatrzona, zamienioną została na kościół, pierwszy we wsi Tarnów, na terenie Spytkowego dziedzictwa.

Obie wersje legendy kończą się jednakowo, że św. Stanisław ze Szczepanowa, (niedaleko Tarnowa) dowiedziawszy się o cudzie kościółka, umyślnie tu przybył, by na ołtarzu Pańskim, pierwszą bezkrwawą odprawić ofiarę.

Obok kościółka zbudował Spytek, czyli Spicymirz zamek obronny, herbem Leliwa, jako godłem rodu oznaczony.

Gdy aktem erekcyjnym z datą 7 marca 1330 r. podniósł król Łokietek wieś Tarnów do godności *miasta* z teutońskiem „prawem miecza", wtedy Spicymirz podwójnym murem z wieloma basztami obronnemi miasto otoczył i według obowiązującego schematu kolonizacyjnego ustanowił plan rozbudowy z kwadratowym rynkiem, którego każdy bok wydłużał się ku murom dwiema naprzeciwległemi ulicami, zamykanemi na łańcuchy bram i furtek komunikacyjnych.

W XV w. pra-prawnuk Spytka, Jan Amor, stawiając murowany kościół i klasztor OO. Bernardynów, otoczył go osobnym murem i lochem podziemnym, $2^1/_2$ km. długim, połączył z zamkiem.

Czy Spicymirz także pierwszy ratusz budować zaczął, niewiadomo, — pewnem jest jednak, że powstał on wkrótce po „umiastowieniu" Tarnowa w XIV w.

W czasopiśmie „Lwowianin" z 1840 r. taką o ratuszu tarnowskim zamieścił L. Zieliński notatkę:



Modrzewiowy kościółek św. Marcina
odbudowany w XIII., z małemi zmianami w XVI w.

„Stoi swobodnie na środku rynku w swym śpiczastym kołpaku, drzemiąc nad rojowiskiem przekupek. Na gotyckiej kamizelce powiesił sobie zegar, w pancerzu ma schodki na wieżycę, a na ramionach cudaki-potwory, (Maskarony). Zaś w brzuchu tego antyka znajdują się duże dzbany cynowe, z których rada ławnicza kilkadziesiąt razy do roku spory antałek miodu wypija, ku pokrzepieniu sił fizycznych i ku natchnieniu w rozprawach. Obok dzbanów halabarda stróża nocnego i 2 miecze katowskie, jako że Tarnów miał „prawo miecza" i w razie potrzeby kata z Biecza sprowadzał. Ostatni antałek przeniósł się do wieczności wraz z ostatnim ławnikiem, w XVIII w. Wtedy, jak z urywków ksiąg sprawdzić było można, wypili ławnicy 16 konwi miodu i 4 garnce wina, a jeszcze dekretu nie było.

A jakie to bywały dekrety. „Poszkodowanemu złotych 10, a 4 na ratusz zapłacić ma Andrzej Kapusta, za ono zgorszenie, że się upił i miodu 4 miary arendarzowi wziął i na ulicę wylał, a nie do gardła".

Dziś niema ani antałków, ani miodu, trzy pozostałe dzbany zdobią Muzeum miejskie wraz z halabardą, mieczami i kilku „potworami" kamiennemi z ramion starego ratusza, a obrady — na szczęście bez „prawa miecza", odbywają się „na sucho".



Klasztor S. S. Urszulanek w Tarnowie

Co mógłby powiedzieć stary dąb?

W ogrodzie zakładu SS. Urszulanek w Tarnowie rośnie stary dąb; może ma sto lat, a może więcej, niewiadomo. Starzy nie lubią, gdy ich pytać o wiek. Dąb ten nie jest wcale piękny, nie jest rozłożysty i nawet nie można dziś o nim powiedzieć, że jest ładny. Znać, że niejedną widział burzę, że wielu wichrom stawiał czoło, słowem że dużo, dużo przeżył. Gdyby tak zechciał mówić, byłoby co słuchać. Mógłby nam opowiedzieć historję klasztoru tarnowskiego.

Wszak to on, ten stary dąb widział, jak pewnego gorącego dnia czerwcowego

1877 r. przybyło do Tarnowa 17 SS. Urszulanek, zmuszonych twardą, pruską pięścią do opuszczenia Gniezna. Mógłby opowiedzieć ciężką dolę wygnanek w ich pierwszych latach pobytu, mógłby wyszumieć zmagania z biedą pierwszej tarnowskiej Przełożonej, M. Walentyny Lisieckiej. Ale widać ręka Boża czuwała nad niemi, kierując sercami i myślami ówczesnych obywateli Tarnowa, bo już w dwa lata później, a więc w 1879 r. stanął klasztorek — i odbyło się poświęcenie kaplicy, gdzie miała brzmieć nieustanna chwała Boża, gdzie miało dokonywać się ciche poświęcenie Sióstr, pracujących nad wychowywaniem młodzieży. A młodzież, kochając swe wychowawczynie, nie chciała ich opuścić: wiele panienek przyjechało za Matkami z Gniezna do Tarnowa.

Od tego też czasu zaczęły się dla dębu dni radości, bo z chwilą poświęcenia klasztoru otworzono pierwszy pensjonat dla dziewcząt. Rozbrzmiewał ogród, choć początkowo mały, młodemi dziewczęcemi głosami, a dąb szumiał, poruszając radośnie staremi konarami. Bo któżby nie kochał młodości, życia i wiosny?

Możliwe, że opowiedziałby stary dąb, (gdyby się znał na tem,) że początkowo szkoła SS. Urszulanek miała 8 klas, a dopiero w 1904 r. przekształcono ją na 6-cioklasowe liceum. Ale staruszkowi było wszystko jedno, jak nazywała się szkoła i czego w niej uczono. Czyż nie ważniejsze dlań były dzieci, zawsze wesołe, roześmiane, używające z całym zapałem swoich odwiecznych praw młodości? A więc nie możnaby mu się dziwić, gdyby w swojem opowiadaniu pominął nawet tak doniosłe wydarzenie, jakiem była przemiana liceum na 8-mio-klasowe prywatne gimnazjum realne w r. 1911.

Ale nietylko radosne chwile miał dąb-staruszek. O nie! Przeżywał on dni grozy i niebezpieczeństwa, razem z wszystkimi mieszkańcami klasztoru, w roku 1914/15. Był to rok wojny światowej. Ucichły dziecięce śmiechy, ucichł gwar głosów szczebiotliwych, bo sale szkolne zamienione zostały na szpital wojskowy, przepełniony jękami, rannych i konających. I niejednemu wojakowi śpiewał poważny dąb kołysankę do wieczystego snu...

Minęły, jak złe sny, te ciężkie chwile, powróciły dzieci do klas, wróciły Siostry, które częściowo wyjechały do innych klasztorów przed grozą inwazji rosyjskiej — wszystko wróciło do normalnego stanu. Tylko na dębie starym znać postęp lat, znać przeżyte burze.

Miał jeszcze dąb staruszek kilka chwil wielkich radości. Czyż mógł nie odmłodnieć ze wzruszenia, gdy w roku 1919 obchodziła złoty jubileusz wstąpienia do klasztoru pierwsza Przełożona Zakładu Tarnowskiego, M. Walentyna Lisiecka? Wszak na ten dzień zjechały stę z całej prawie Polski córki tej Matki, by wspólnie z nią, cieszyć się jej świętem. Były dawne wychowanki gnieźnieńskie, były pierwsze pensjonarki z Tarnowa i obecne uczenice, byli przyjaciele i dobroczyńcy klasztoru. Wielki to był dzień! Wszyscy starali się go umilić Matce, by nie żałowała, że opuściła Gniezno. Czyż więc dąb mógł być obojętnym?

Albo, gdy w roku 1927 Zakład obchodził swój 50-cioletni jubileusz — czy to nie była także i jego uroczystość? Czy może nie miał prawa radować się on, co tyle smutnych chwil dzielił z Matkami?

Ale dzisiaj — dzisiaj ten dziaduś za stary jest na to, ażeby mógł brać żywy udział w obecnych radościach i smutkach: dziś żyje tylko wspomnieniami przeszłości, choć

zawsze jednako raduje się z nami wiosną, zawsze przyjaźnie gałązkami rusza. Któżby mógł płakać, gdy młodość wokoło roztacza swój czar?! A jednak w poszumie jego jest jakaś inna nuta; nie jest to smutek, o nie! Kto dobrze żył, nie ma czego się smucić u schyłku dnia. Ale może jest tam trochę wspomnień o tych dawnych, bardzo dawnych latach i dlatego więcej rzewnej muzyki jest w jego gwarze? A gdyby tak zechciał mówić, to pewnie rozwodziłby się długo i szeroko o tych najdawniejszych chwilach, a późniejsze czasy ledwieby wspomniał. Trudno, to już taka cecha wszystkich staruszków. I może opowiedziałby więcej chwil jasnych i dobrych, a nawet te ciemne, bolesne dni nabrałyby w jego wspomnieniach czegoś rzewnego raczej, niż groźnego? Bo to także przywilej starości, że to, co bolało — zczasem blednie, a co cieszyło — jaśniejszym blaskiem płonie.

Gdyby dąb zechciał mówić...

IRENA BREZA.

Muzeum diecezjalne w Tarnowie

Przed kilkunastu miesiącami jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stanęło w Tarnowie M u z e u m d i e c e z j a l n e, owoc mrówczej i kolekcjonerskiej pracy ks. infułata Bąby, znawcy i miłośnika sztuk pięknych.

Z niestrudzoną wytrwałością szukał on po wsiach i miasteczkach dzieł minionych wieków, znajdował arcydzieła i zapełniał niemi sale seminarjum duchownego, które było chwilowem schroniskiem zbiorów. Przez lata całe pomagał mu ks. prałat Bulanda, jemu też ks. infułat oddał w opiekę dalsze losy muzeum, gdy sam prowadzić go już nie mógł.

Miasto, oceniając wartość nagromadzonych zabytków, ofiarowało całe piętro starego ratusza na urządzenie muzeum diecezjalnego w połączeniu z miejskiem, posiadającem cenne zabytki archiwalne: dyplomy królewskie książęce z XV. i XVI. w., pamiątki cechów mieszczańskich i t. d.



Tarnów. Ratusz.

Zbiory sztuki religijnej tarnowskiego muzeum zdumiewają liczbą, a jakością przewyższają, według znawców, podobne zbiory Muzeum Narodowego w Krakowie. Na zwiedzających wywierają silne wrażenie. Ze setek 14-o i 15-o wiekowych obrazów i rzeźb wieje tchnienie religijnej ekstazy, jaką przeżywali mistrze, tworząc swe dzieła, daje się odczuć atmosfera sztuki nawskroś chrześcijańskiej.

Wielki znawca i autor olbrzymiego angielskiego dzieła o malarstwie, Macfell, powiedział, że wszelka sztuka, jeśli chce być żywotną, musi opierać się na interpretacji życia, musi być osobistym wyrazem wzruszeń. Sztuka średniowieczna, sztuka ludzi zamodlonych, pracujących jedynie z miłości i dla miłości Boga, z wyłączeniem ambicyj osobistych, jest taką sztuką żywotną.

W zbiorach tarnowskiego muzeum szczególną uwagę zwraca obraz dużych rozmiarów, przedstawiający zdjęcie z krzyża Pana Jezusa, bogaty w kompozycji, jest arcydziełem polskiego średniowiecza (XIV. w.). Autor nieznany.

Ciekawe są skrzydła ze scenami Męki Pana Jezusa, rzecz wielkiej wartości artystycznej i zabytkowej, zdradza wpływy malarstwa czeskiego i sieneńskiego.

„Św. Katarzyna" wzrusza wyrazem słodyczy, zdaje się, że usta świętej drżą słowami modlitwy w tęczy kolorów. W całej postaci tkwi wdzięk i majestat niebiańskiej czystości.

Wiele tu jest obrazów bardzo prymitywnych, posiadających dużo prawdy żywotnej, prawdy, która silnie umiała przemawiać do ludzi średniowiecza, przez tyle ostała się wieków, a dziś spływa ku nam równie wielka z pozłocistego tła arcydzieł.

Z rzeźb najstarszą jest głowa św. Jana na misie, w stylu romańskim. Cenny archaiczny zabytek. Inne gotyckie z XIV. i XV. w. zdumiewają śmiałością formy i siłą ekspresji. Wiele z nich rzeźbili kozikiem wiejscy artyści, nadając swym świątkom cechy naiwności i poezji ludowej głęboko odczutej.

Wśród rzeźb dominuje pięknością i znaczeniem muzealnem grupa Wita Stwosza: „Św. Anna Samotrzecia". Prześliczny wyraz twarzy św. Anny przykuwa wzrok subtelną linją rysów, spojrzeniem oczu i majestatem świętej powagi. Grupa lśni stwoszowską polichromją, pyszniącą się delikatnemi barwami, przez które przebłyskują promienie złocistego podkładu.

Kilka figur barokowych i rokokowych i kilkanaście uśmiechniętych aniołków, o pyzatych buziakach — jest wyrazem swej epoki.

Średniowieczne ornaty są prawdziwem bogactwem muzeum. Jedne ręcznie tkane, inne haftowane misternie. Czas wygryzł gdzieniegdzie dziury, ale nie stłumił tęczy barw roślinnych, które zachowują swą pierwotną świeżość.

Wpatrując się w te ornaty, oddalam się myślą w zamierzchłe wieki. Widzę snop światła padający z okienka warownego zamku. W framudze okiennej siedzą nad krosnami dworki. Delikatne ich palce wodzą nić złotą gestem jednostajnym, i kładą ją na cienkiej



Tarnów — Św. Anna Samotrzecia (ok. roku 1500); ze zbiorów Muzeum Diecezjalnego.

tkaninie obok nielicznych promieni słońca, jakie przedostały się przez małe szybki. Pieśń nabożna rozchyla usta dworek, praca maluje twarze skupieniem. Otoczona wieńcem dziewic nastrojniejsza siedzi Księżna pani. Nanizała na niteczkę pereł prawdziwych i srebrzy niemi szlak szaty Panny Marji. Pod ciepłym dotykiem palców hafciarki perły płoną różowym blaskiem . . .

Niektóre ornaty tarnowskie są z aksamitów i brokatów z XV wieku. Inne ze złotogłowia, czyli altembasów włoskich, francuskich, czy germańskich przebłyskują złocistą lub srebrzystą powłoką poprzez kolorowe tony. Pochodzą prawdopodobnie z XVII wieku.

Kolekcja materyj wschodnich i pasów słuckich z XVIII w. dopełnia bogatego działu tkanin, do których zaliczyć można niewielki namiot turecki z pod Wiednia, z jedwabnych nitek utkany.

Na pulpitach dębowych leży kilka ksiąg starych i w skóry oprawnych, m. i. biblja Wujka, pierwsze wydanie, rękopis „Śpiewów gregorjańskich" precyzyjnie iluminowany. Wiele drobiazgów artystycznych przegląda poprzez szybki gablotek, lśni stara porcelana, złocą się ordery, czerwienią pieczęcie.

Przybywającym do Tarnowa polecam zwiedzenie muzeum. Przeżyjecie w niem całą gamę artystycznych wrażeń, a niejedna obdarzona talentem twórczym, wyniesie zeń może na skrzydłach nadziei anioła natchnienia.

MARJA GRENIKÓWNA.

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej żeńskiej w ziemi Tarnowskiej.

Niby świetlne ogniki na moczarzyskach, rozpłomieniły się po tarnowskiej ziemi Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej Żeńskiej. Rozpłomieniły się pięknem życia i umiłowaniem idei organizacyjnej. Z roku na rok liczba ich wzrasta, udoskonalają się metody pracy wychowawczo - oświatowej, pogłębia się przywiązanie i zrozumienie celu Stowarzyszeń.

W Tarnowie, przy ul. Marszałka Focha, w Związku Młodzieży Polskiej Żeńskiej, którego biuro mieści się w klasztorze SS. Urszulanek, bije nieustające źródło cennych wskazań i pomocy w pracy stowarzyszeniowej. Zrozumiano tu i przejęto się całą duszą onem hasłem, rozbrzmiewającem wzdłuż i wszerz ziemi polskiej: ,,młodzież przyszłością narodu". Tę ,,przyszłość narodu" trzeba ująć w serdeczne, opiekuńcze dłonie, by nadzieje w niej pokładane spełniła. Prowadzi się więc młodzież drogą rekolekcyj, pogłębienia ducha religijnego, budzenia uczuć miłosierdzia dla niedoli ludzkiej — do Boga. Wzbogaca jej umysły w zdobycze wiedzy teoretycznej i praktycznej, budzi zainteresowanie dla spraw kultury, uczy inteligentnego współżycia z ludźmi. Umiejętnie ujętą metodą wychowania państwowego przygotowuje się młodzież, na prawych, karnych i światłych obywateli Państwa, którzy rozumieją, że dobro ogółu wznieść trzeba ponad sprawy ,,pojedynkowe". Ze Związku, niby z głównej arterji życionośnej, płyną ożywcze prądy do wszystkich Stowarzyszeń, zasilając je w siłę i hart ducha, co przeszkody łamać potrafi, dając podnietę, zapał i energję do pracy twórczej.



Spotkanie się druchen Szczawnickich (po lewej) z druchnami z z Krościenka (po prawej stronie) na wycieczce 9. V. 1929 r., na tle Dunajca i Pienin.



DUNAJEC.

Otoczona tą opieką młodzież nasza rozwija się, niby „kwiat do słońca". Czyż było do pomyślenia kilkanaście lat temu, że gdzieś w zapadłej wiosczynie gromadzić się będzie młodzież w swojej świetlicy, urządzać zebrania, przewodniczyć im, przygotowywać imprezy — wieczornice, przyjmować gości ze swojej sfery lub z inteligencji. Nie zasłoni dzisiejsze dziewczątko z S.M.P. oczek fartuszkiem, nie spłoni lica rumieńcem zmieszania i nie odbiegnie spłoszone, gdy ktoś obcy doń zagadnie, lecz odpowie śmiało, inteligentnie i przedstawi dobrze swą organizację. W świetlicach stowarzyszeniowych, niby w „kuźnicy wiadomości dobrego", dowiadują się dziewczątka, jak pojmować życie i jak je urządzić, by zawsze było piękne i pełne radosnej, a szlachetnej treści. Kursy oświatowe, rolniczo-gospodarcze, sztuki kulinarnej, szycia lub robót ręcznych, kształcą młodzież żeńską praktycznie, często są też źródłem zarobkowania (Tuchów, Bochnia — kilimy. Krościenko, Szczawnica — roboty ręczne).

Zjazdy delegatek Stowarzyszeń żeńskich, urządzane raz do roku, przez Związek Młodzieży Polskiej Żeńskiej w Tarnowie, dając liczebny pokaz organizacji, są też manifestacją idej, przenikających dusze młodzieży skupionej w S. M. P.

Dla młodzieży stowarzyszeniowej, w ziemi tarnowskiej jest wielkiem szczęściem, że mają ludzi całą duszą jej oddanych. Nauczycielstwo i panie z inteligencji, Siostry różnych Zakonów, chwile wolne od pracy zawodowej poświęcają młodzieży, ufając, że posiew miłości Bożej i bratniej wyda bogate owoce, że rady i nauki ofiarnych pracowników będą młodzieży drogowskazem, gdzie mieszka prawdziwe Dobro i Piękno życia.

„O, nie przepadnie siew szlachetnych myśli,
I nie zmarnieje trud pracy ofiarnej —
Z nich wyjdą owi duchem niezawiśli,
Sercem gorący, a czynem mocarni!"

ZAKŁAD NAJŚW. SERCA JEZUSOWEGO
W ZBYLITOWSKIEJ GÓRZE



Zbylitowska Góra — Kaplica.

W pięknej podgórskiej okolicy, w odległości 5 km. od Tarnowa, we wsi Zbylitowska Góra leży Zakład wychowawczo-naukowy Zgrom. Najśw. Serca Jezusowego (Sacré-Coeur). Jest to obszerny internat, obejmujący obecnie Gimnazjum humanistyczne, szkołę powszechną i Seminarjum Gospodarcze, — to ostatnie od r. 1928. Gmach Zakładu z kaplicą w stylu romańskim, położony na wzniesieniu, widny jest zdaleka, gdy przejeżdża się pociągiem przez Tarnów. Wzniesiony w r. 1902, został podczas inwazji wojsk rosyjskich w 1914—15 r. prawie zupełnie zniszczony. Dziś w okoleniu starannie utrzymanego parku, i wzorowo urządzonego ogrodu warzywnego i owocowego, (razem 25 ha) jasny i skąpany w słońcu, przedstawia widok pociągający i od pierwszego wejrzenia sprawia wrażenie tego, czem jest w istocie, — ogniska twórczej, radosnej pracy.

Zakład dba nietylko o wysoki poziom nauk w swych trzech szkołach, ale dzięki swemu położeniu dostarcza również młodzieży możności uprawiania różnorodnych sportów i gier ruchowych. Dalekie spacery i wycieczki, jazda konna, ślizgawka, narty, saneczki, wielkiem cieszą się powodzeniem wśród wychowanek Zakładu.

Gimnazjum z obowiązującym językiem francuskim, trzyma się ściśle planów ministerjalnych, ma pełne prawa, podobnie jak i Seminarjum Gospodarcze, obejmujące działy: gospodarstwa domowego, ogrodnictwa i hodowli drobiu, które rozwija się pomyślnie, mając doskonały teren do zajęć praktycznych na miejscu. Grupki seminarzystek w niebieskich fartuchach i czerwonych chusteczkach na głowach uwijają się w ogrodzie i we wzorowo urządzonym kurniku, niejednokrotnie zwiedzanym przez znawców. Inne w białych fartuchach i czepeczkach pracują w kuchni, piekarni czy pralni. Nauka w seminarjum trwa trzy lata; wymagane jest świadectwo z 6 kl. gimn. (świadectwo z 8 klas gimn. daje prawo wstąpienia na 2 kurs). Po zdaniu matury seminarjalnej absolwentki, po odbyciu roku zawodowej i roku instruktorskiej praktyki i egzaminie pedago-



Zbylitowska Góra – Zakład Serca Jezusowego.

gicznym, zostają nauczycielkami szkół gospodarczych.

Praca poważna i intenzywna łączy się w zakładzie z nastrojem radosnym i swobodnym, panuje atmosfera wzajemnego zaufania między uczenicami i nauczycielkami i bliskiego współżycia koleżeńskiego. Gimnazjalistki i Seminarzystki w doskonałej harmonji dopełniają się swemi wiadomościami i zdolnościami przy wspólnie urządzanych obchodach, wieczorkach, akademjach; razem z małemi ze szkoły powszechnej, tworzą jedną wielką rodzinę.

Działalność kółek naukowych i społecznego, wydawanie „Naszej gazetki", odczyty zapraszanych prelegentów, pozwalają na rozwijanie zamiłowań specjalnych, a często urządzane przedstawienia i koncerty wnoszą dużo urozmaicenia w życie Zakładu, który swą nazwą „klasztoru" przestrasza może trochę niejedną nieświadomą rzeczy osobę, a jednak po zapoznaniu się bliższem z jego życiem przywiązuje ściśle nietylko do swych murów, lecz głównie do ideałów, któremi przyświeca królujące tu Serce Jezusowe.

WIECZOREM...

Bądź pozdrowiona Królowo! Pani niebieskiego dworu,
Jawiąca się w świątnicy majowego wieczoru.
Odziana w szafir mórz i w jezior czarną głębię,
W gwiazdy koronowana i w różowe od zorzy gołębie
Bądź pozdrowiona o zmierzchu dnia, jawiąca się uroczyście,
Depcząca naręcze narcyzów i bzów siwych zroszone kiście.
Błogosławionaś, żeś jasna —
gdy wkoło wszystko jest ciemne
Iżeś jest z góry — wkoło wszystko przyziemne
Błogosławionaś — że gdy dobroć umarła
a na serce miejsca już niema,
Ty patrzysz się na ludzkość — litościwemi oczyma!
Błogosławionaś Marjo, iż gdy świat się rzuca i kona
Egoizmem materji zżarty — Tyś jest nadprzyrodzona,
I w chwili gdy zło od krańca do krańca zwycięża
Ty drobną stopą cierpliwie zgniatasz głowę węża!...

S. M. T.



Grupa góralek z Chochołowa.

Fot. prof. E. Pawłowski Nowy Sącz.

PROF. EUGENJUSZ PAWŁOWSKI.

KULTURA PODHALA

Na południowych rubieżach Rzeczypospolitej, u stóp kamiennej ściany Tatr na skalnych upłazach i jałowych graniach rozłożyła się kraina górska, dzika i biedna, a odrębna i czaru pełna. Od stoków Gorców i Babiej Góry po Tatry, od Orawy po wyniosły Czorsztyn i urocze Pieniny ciągnie się ta ziemica, której piękno ściąga nietylko z całej Polski, ale i z zagranicy tłumy turystów i letników, której czar przykuwa do siebie serce każdego, kto choć raz się z nią zetknął. Bo nietylko cudowny, niezwykły krajobraz ożywia Podhale: zamieszkał je lud dzielny a dorodny, który dzięki swemu pochodzeniu i ciężkim warunkom bytu wytworzył zupełnie odrębny typ etniczny, typ znanego powszechnie górala-Podhalańca i zupełnie odrębną a wysoce artystyczną kulturę. Kultura ta, jak twierdzą etnologowie, jest przedewszystkiem świetnie zachowaną pierwotną polską kulturą. Tak więc w budownictwie: dom góralski przedstawia nam najwspanialszy typ rodzimego, polskiego dworu; oryginalna gwara dzięki wielowiekowemu odcięciu Podhala górami i lasami od reszty Polski, przechowała najpiękniejsze archaizmy mowy staropolskiej z czasów piastowskich i dawniejszych (akcent na pierwszej zgłosce, archaizm podhalański: z-ito (nie *żito)* c-isty, grzib itp., dawny czas przeszły (aoryst): byłek, robiłek, mnóstwo archaicznych wyrazów i form gramatycznych, nie spotykanych nigdzie indziej. To samo można powiedzieć o starożytnych pieśniach obrzędowych i zwyczajach staropolskich czy słowiańskich.

Do tych rdzennie polskich właściwości domieszały się wpływy obce: węgierskie, wołoskie, ruskie i słowiańskie. Tak więc z Węgier przyszedł oryginalny strój z wyszyciami, od Wołochów kultura pasterska i gospodarstwo szałaśnicze, od Słowaków niektóre zwyczaje i stroje, od wszystkich — duże naleciałości językowe.

Ale przecież górale pozostali sobą: rodzimą kulturę polską i wpływy obce przetrawili, przetworzyli na kulturę oryginalną, własną, góralską. Powstaje więc oryginalny, barwny strój z przebogatą ornamentyką i „cyfrą“ (haftem: „portki“, serdaki, cuhy, gorsety), powstaje najpiękniejszy i najoryginalniejszy w budownictwie i w urządzeniu domów — styl zakopiański. Powstaje oryginalna, obrazowa, barwna i żywa gwara podhalańska, dzika a przejmująca muzyka, tęskna a namiętna pieśń i dziki, „naremny“, wściekły taniec góralski: drobny, krzesany, zbójnicki. Odrębne warunki bytu i wrodzone zdolności i zamiłowania stwarzają w góralu nieprzeciętne wartości duchowe: zamiłowanie do piękna, zdolno-

Góralki z Chochołowa.

Fot. prof. E. Pawłowski Nowy Sącz.



ści artystyczne, wytrwałość, spryt, siłę woli, hart ducha, a przedewszystkiem umiłowanie swobody orlej i przywiązanie do gór. Zamiłowanie do piękna każe mu otaczać się sprzętami artystycznie zdobionemi i rzeźbionemi nawet w drobiazgach, każe mu zachować pewną czystość i schludność nawet w najcięższych warunkach. Umiłowanie zaś swobody i gór, pcha go w Tatry — na polowaczkę, na zbójnictwo, na beztroską włóczęgę po graniach i perciach skalnych; ale pcha go także do boju za ojczyznę i wiarę; — historja Podhala od walk z Tatarami, od obrony Jana Kazimierza aż do legjonów z ostatniej wojny daje nam na to mnóstwo przykładów.

Piękno Podhala i ludu góralskiego poznali i umiłowali nasi najwięksi artyści i dali im wyraz w swych dziełach: Asnyk, Tetmajer, Orkan, Kasprowicz, malarz Witkiewicz i inni — pokazali nam, jakie skarby mamy na Podhalu. Skarby te powinniśmy poznawać i strzec ich przedewszystkiem my, młodzi, by się nie roztrwoniły, by ta przepiękna kultura nie zaginęła, by kiedyś pokolenia, które przyjdą po nas, nie mogły nam zrobić zarzutu, że zmarnowaliśmy to, co mieliśmy najpiękniejszego!...

TATRY.

Chyba nigdzie
w całym świecie
takich cudów
nie znajdziecie,

Kędy tylko
wzrok wasz padnie,
wszędy pięknie!
wszędy — ładnie!

nie doznacie
tych zachwytów,
jak tu w Tatrach —
śród granitów!...

a nad masą
górskich szczytów —
słońce śmieje się,
z błękitów!!!...

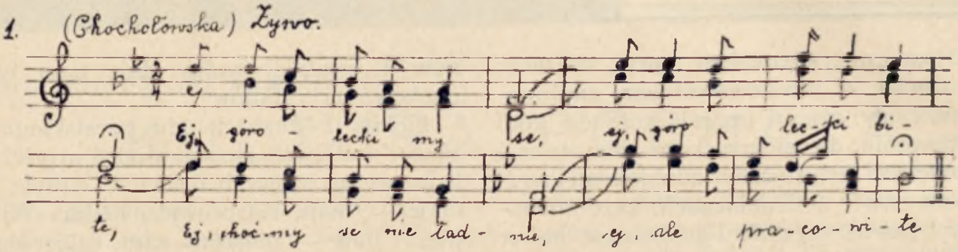
E. Kłoniecki.
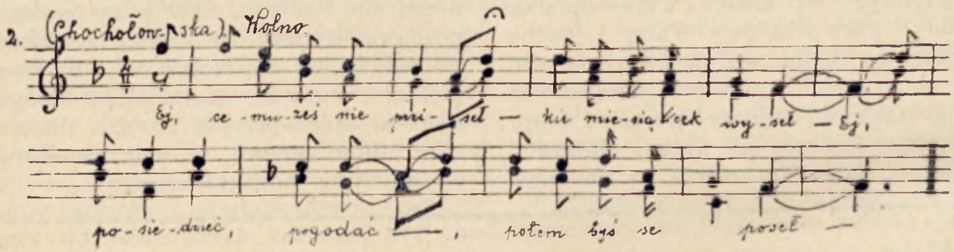
K. K.

PIEŚNI GÓRALSKIE Z PODHALA.

(Zebrał Eug. Pawłowski).

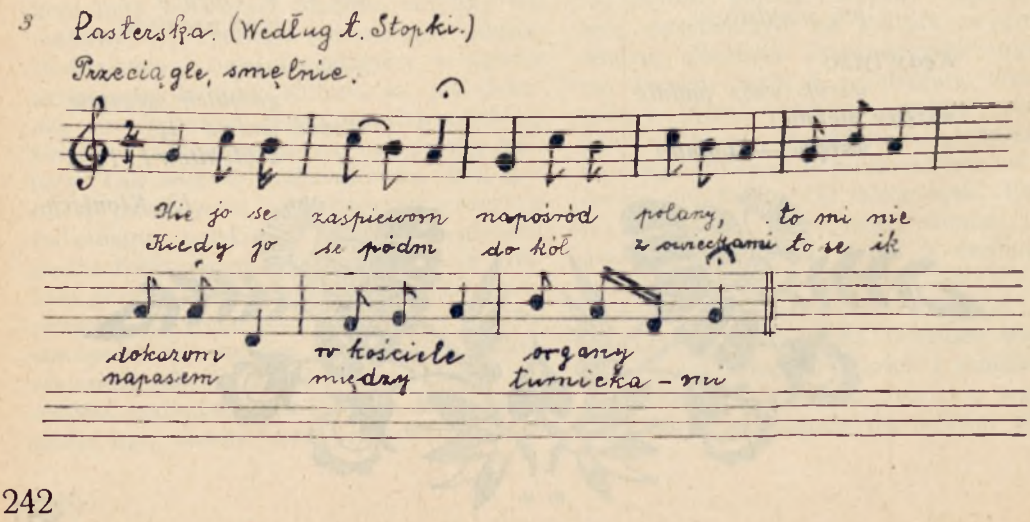
Poniżej zamieszczone piosnki śpiewają na Podhalu dziewczęta, dwu i trzygłosowo, ostremi, nieuczonemi, ale dziwnie zgodnemi i czystemi głosami; nuty ostatnie oraz kończące poszczególne frazy muzyczne (wzgl. wiersze tekstu) przeciągają, poczem robią krótką pauzę, zwłaszcza jeśli śpiewają w czasie przechadzki, albo też łączą ostatni ton przeciągnięty z natępnym („portamento"). Melodje nie są ściśle związane z tekstami: prawie każdą śpiewkę można śpiewać na różne melodje zależnie od miejscowego zwyczaju lub nawet indywidualnej ochoty czy nastroju śpiewających. Prawie zawsze zaczyna śpiew jedna, inne dołączają się. Subtelne cieniowanie przejść i końcowych fraz nadają pieśni charakter przedziwnie smętny i nastrojowy.
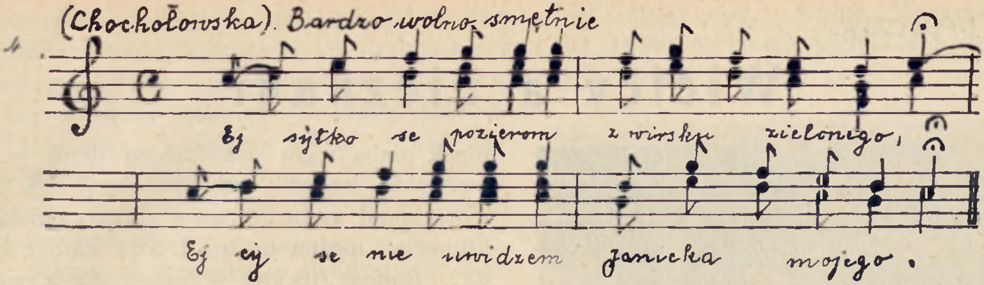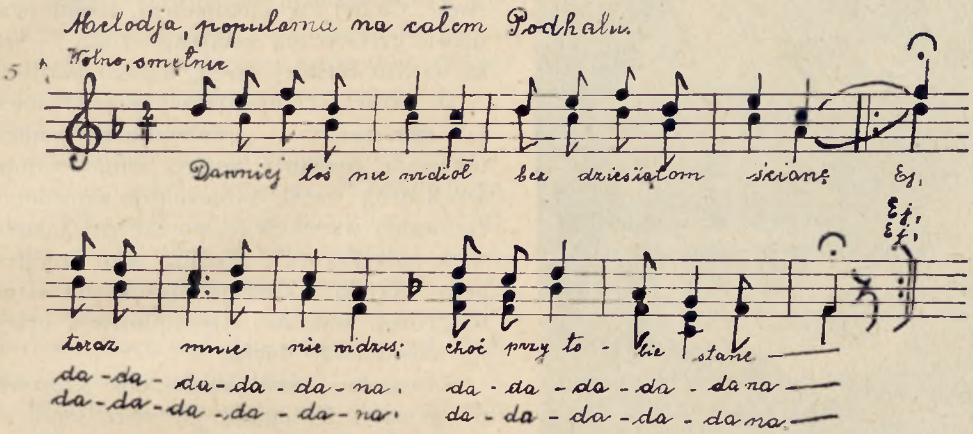




Janicku, marnota, zjadła cie robota,
Zjadły cie roboty, chodzący bez płoty.

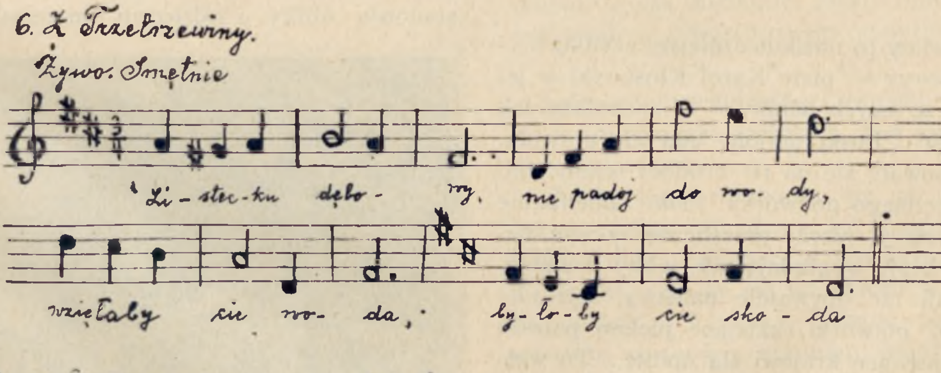
Janickowie oba chodzili dolinom,
Tak se powiadali, ze se nie zaginom.

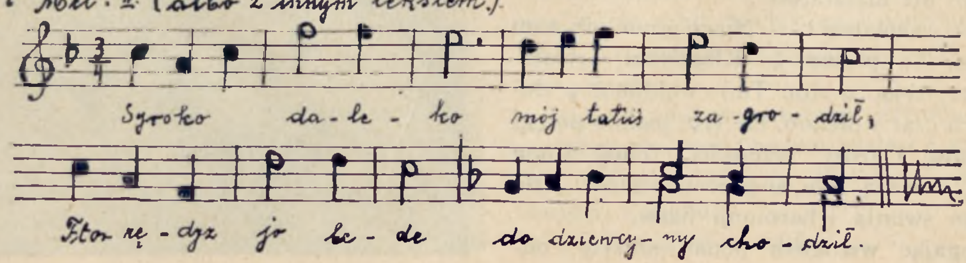






Piosnki z Sądeczyzny.





J. H. OPOLCZYK.

Wielcy a nieznani



„Kwiaty to najskuteczniejszy czynnik wychowawczy — pisze Karol Kłosowski w jednym ze swych listów. — Niepokalana ich czystość i Boski utajony cud nie pozwolą, by rysowały się na tle brudnej ściany, lub zaśmieconego podwórka. Przez zaniedbanie tych rzeczy, nieraz prześliczne zakątki naszego kraju wyglądają tak, jakby je zamieszkiwali nie obywatele państwa, lecz niechlujne potworki, kalające piękno pejzażu i przynoszące krajowi złą opinję... To ważniejsze niż malarstwo".

Czy ważniejsze? — Niech czytelnik sam osądzi. To pewne, że Kłosowski, artysta-malarz, żyjąc u stóp Tatr, wchłonął w duszę ich czar i piękno, nie tyle piękno potęgi szczytów i grozy przepaści, (choć i one grają znaczną rolę w jego twórczości), ile piękno światła i harmonji barw.

Sięgając wzrokiem ponad szczyty, odblask nieba i gór odnalazł na ziemi — w kwiatach, hodowli ich poświęcił 25 lat i przekonał wielu, że nawet w zakopiańskim klimacie „można na tej drodze zdobyć cuda". Szerząc piękno w otoczeniu, z willi swej „Cichej" w Zakopanem, zrobił prawdziwie artystyczną świątynię sztuki — sztuki bardzo bliskiej sercu, bardzo swojskiej.

W twórczości malarskiej jest Kłosowski jak sam mówi — „zwolennikiem podtrzymywania rodzimej sztuki, mimo najnowszych dróg i haseł, dążących do skosmopolityzowania wszystkiego, co cechuje jakąkolwiek narodowość". Według jego artystycznego „credo", kosmopolityzowanie sztuki, to groźny atak na najsubtelniejsze przejawy narodowego ducha.

Szczególne zamiłowanie ma Kłosowski do pejzaży. Pociągają go stare kapliczki, kościółki wiejskie, historyczne zamki, tak bogato rozsiane po naszej ziemi. Otaczające artystę specyficzne typy góralskie stanowią obfity i wdzięczny materjał do



obserwacji i szkiców. Stąd cały szereg portretów górali i góralek w ich oryginalnych strojach. Fantastyczne, bajkowe pejzaże budzą w widzu tęsknotę do krainy marzeń. Takie jak: ,,Świątynia sztuki", ,,wyśnione wzgórze", ,,Instytut muzyczny" świadczą, że talent malarski artysty idzie w zawody z polotem myśli.

Śliczne są kompozycje dekoratywne Kłosowskiego, oryginalnie przetwarzane z motywów zakopiańskich, lub legendarnych.

Ciekawe są kolorowe wycinanki, doskonale wykonane i pomysłowo ujmujące sceny z życia polskiego.

Jako długoletni profesor zawodowej artystycznej szkoły żeńskiej w Zakopanem, daje Kłosowski ślicznie pomyślane, oryginalne wzory robót koronkarskich.

Kłosowski, to talent w całem tego słowa znaczeniu. Miłośnik piękna we wszelkiej formie, pracę malarską przeplata tak rzadką u nas grą na cymbałach.

Warto zainteresować się mało znanym u nas artystą. Zagranica przychylnie odnosi się do jego dzieł, zwłaszcza po wystawie sztuki alpejskiej, w której Kłosowski



brał udział. (,,La Revue Moderne" 15. XII. 1930). W niemieckich kołach artystycznych zyskał również życzliwe zainteresowanie. U nas obszerniej nikt o nim jeszcze nie pisał — a warto o tem pomyśleć.



* * *

Odmienny, oryginalny i swojski typ stanowi zakopiański rzeźbiarz, Jan Gąsienica Szostak, sen.

Dzieła jego rozchodzą się po Polsce, szkoda tylko, że niema ich reprodukcyj. Kiedyś mogą być bardzo poszukiwane.

Szostak zajmuje się też akwarelą. ,,Walka orłów", ,,Sobótka", ,,Kwiat paproci", uderzają pewnością rysunku, śmiałym ruchem i ładnym kolorytem. Z powodzeniem maluje na szkle, a ciekawe i pomysłowe są jego ornamenty z różnokolorowych skrzydeł motyli.

Szostak, to nieprzeciętny artysta. Idzie swojemi drogami, bo nie znalazł i nie szukał zresztą żadnego Mecenasa. Wyrósł bujnie, a cicho.

Oto co pisze o sobie:

GĄSIENICA-JAN SZOSTAK Senior.

SAMORODNY ARTYSTA O SOBIE

Jo se ta taki. Jak fcecie wiedzieć o mnie cosi kansi, to Wom powim!

Urodziłek sie W Zakopanem pod Giewontem w. 1895 r. kiesi w maju (podobno to dobry miesiąc), alek zaroz artystom niebył, ani tyz i teroz nim jezce mnie oficynalnie nie uznali, bo ta i nie syćka o mnie wiedzom.

Skoły to mom takie, że najnisso to ta co wsyćka do nij chodzić musom, a jo tyz chodził, śtyry roki do jednej klasy. Przechodziłek ta z ławki do ławki.

Średniom skołe tak skończył na brzyzkach i wlesie górskim a w wyssom okołe jesce wyżej w górak. — Moze sie ta Wom śmisne bedzie widziało, jednak to scyro prowda.

Ucycielami mojemi była ino natura. Natnienie, jak to godajom, dały mi dziadkowskie bojki i bojecki, jakie se ta czasem opowiadajom starsi młodsym.

Zakiel jak ta jesce dobrze nic nie umioł, a mioł ochote cy to do rysowania cy rzeźbinio, tak fcioł iść na Jakademijom, ale nie było takiego, coby mi pomógł sie tam wdeptać.

Jak zaś jek troche lepiej robił, to mi p. Prefesory pedzieli ze skoda tam iść cobyk sie nie zmarnirował, bo skoda już tego cosie samymu nabyło przez pore lot.

Dopiro śtyrnoście roków siedzem nad śtukom i robiem cosie do. Medytujem i rzeźbiem i zaś na odwyrtke malujem lub rysujem i zaś medytujem.

Nature to mom takom już od małego ze chwilki cicho nieusiedzem, bo zawse cosi kańsi myślem aż z tego co sie zrobi.

Specyalność moja płaskorzeźba i rzeźba figóralna, prócz tego pracuje nad obrazami z drzewa (Mozaika z kawałeczków drzew).

Malowidła na szkle również się nieźle udają, lecz tylko w wolniejszych chwilach w tym zakresie pracuję. Obecnie wykończyłem kilka obrazów składanych ze skrzydeł motyli i ciem. (naklejane) Kompozycje figóralne.





GĄSIENICA-JAN SZOSTAK Senior.

KWIAT PAPROCI

Nad potuckami tam ka najmnij słonko świci i swe promycki rzuco, rośnie ziele takie, Paproć. Wto wi otym, ze to czarodziejskie, tosie ryktuje na tyn cas po nie jak fce mieć scyńście.

W noc świętojańską, gdy północ bije, zakwitają kwiatecki maluśkie paproci, po wtore się młodzi wybierajom.

Było to tak. — Maciek z pod miedzy, wtóry nimógł scyńścio naleść, wybroł sie po to ziele.

Wiedzioł juz jako to tzeba sie uryktować, więc poseł. Zakich jesce brzyzeckami seł, to ta było jako tako jezce widno, ale kie wloz juz wlas, to się tak zmroczyło, co nic nimóg uźryć.

Maciek był obyrtny, to sie ta bardzo nie lynkoł, bo mu bez całom droge ino w głowie te kwiatecki paproci kwitły.

Za dnia jesce se paproć wypatrzoł, coby potem trafił po niom po omacku. Seł ta i seł, cym blizyj ku nij przychodził to winksy go strak broł. Cuje, ze cosi mu po piętak depto, ale sie nieobziro i idzie. Wrócić z powrotem juz późno, a tu coroz to straśnijse rzecy sie dziejom.

Niebo roz jasne roz ciymne, piorony biją jak djabli — grzmi, dudni co strak boski. Co sie rozwidni od błyskawicy, to widzi zielska kupe a koło niego ni to janieli ni to djabli, pełno cudaków, jakiesik potwory. Gdy zaś sie ciymno zrobi to zaś pełno ocy i ocysk patrzy na niego roznyk kolorów. Co kroka zrobi, to sie kopyrtnie ze strachu, ale jako tako sie posuwa to na kolanak, to na brzuchu.

Maciek ino idzie kieby jesce z pare kroków a juz chyci kwiatek, taki cudny, tak sie błyscy jak śrybło a malućki bardzo. Jużby go miał w ryncy, ale co rynke wyciągnie po niego, to w rynke godziska skakajom. A tu coroz straśnij, syćkie przeklinte duchy w ocach mo pełno świateł i błysków w głowie dudni. Cudne zjawy, ale strasne.

Jezce roz wyciągnie rynke po kwiatek paproci a juz bedzie jego. W tym jeden błysk — światło. — Grzmot, cyrpok sie mi na głowie w kawołecki ozlecioł.

Rano kiedy już słonecko zesło, wlesie pod smrekiem nalazła Maćka jego dziewcyna.

SZTUKA PODHALAŃSKA

JAN GĄSIENICA SZOSTAK

(artysta-malarz)

Urodził się w Zakopanem, w r. 1895, uczęszczał do gimnazjum w Nowym Targu, następnie ukończył pięcioletni kurs rzeźby figuralnej i dwuletni kurs malarstwa w szkole przemysłu drzewnego w Zakopanem u prof. Gałka, Stan. Barabasza i ś. p. Stanisława Wójcika. Poczem u prof. Jana Bukowskiego w Krakowie pracował nad dekoracją kościelną, a w Akademji paryskiej studjował u prof. Klaudjusza Castelucho.

Istnieje wielu malarzy i rzeźbiarzy, szukających oryginalności w naśladowaniu braków rysunkowych, ludowych malowideł i w wyszukiwaniu prostackich zestawień barwowych takich, na jakie stać było poczciwych nieuczonych artystów wiejskich. To, czego tamci nie umieli, ci umyślnie powtarzają. Szostak nie naśladuje ujemnych stron ludowego malarstwa, ale szuka natchnienia w swojskości, prostocie i szczerości, która łatwo mu nadzwyczaj przychodzi, jako rodowitemu góralowi. Układ jego obrazów jest nawskroś dekoracyjny, stylizacja wykwintna i konsekwentna, rytm linji niezrównany, rysunek doskonały, barwy żywe i silne po mistrzowsku rozłożone w płaszczyznach, zgodnie tak z właściwością **malowania na szkle**, jak i z charakterem ludowym.

Gdy oglądamy Szostaka Madonny ze zbójnikami i tańce góralskie, nie odrazu zdołamy pojąć, jak wielkich studjów wymagało dojście do takiej szlachetnej syntezy, jak jedną kreską artysta wyraził to, co malarstwo olejne może oddać perspektywą, a płaszczyznami



Dom wycieczkowy i pensjonat S. S. Urszulanek w Rokicinach Małopolskich p. Chabówka.

barw to, co tam sprawia nieprzebrana ich skala, a w rytownictwie cała sieć linij lekkich i silniejszych.

W 1921 r. poznał się przypadkowo Szostak z Kietliczem-Rajskim, który go tak polubił, że udzielił mu rad i zachęcał do podniesienia na wyżyny malarstwa na szkle. Ucieszył się on niezmiernie, gdy, oglądając prace uczniów Szkoły Zawodowej przemysłu drzewnego w Zakopanem, która za dyrekcji Barabasza stała wysoko, ujrzał pracę konkursową swego młodego przyjaciela: mianowicie, rysunek samodzielny fryzu, wyróżniony pierwszą nagrodą. Z zadowoleniem i uznaniem dla szkoły napisał o Szostaku: „Gąsieniców ród — wiadomo, że to ów krzak zakopiański. — Niechże pamięta, że ma obowiązek stanąć w rzędzie tych, którzy sławy Zakopanemu przysparzają“...

O swym mistrzu, wyraża się Szostak: „Ten szlachetny mój Przyjaciel, skierował mię na właściwe tory i Jemu zawdzięczam, że jestem tem, czem jestem“!

W inną zupełnie dziedzinę, niż w malowidłach na szkle, przenosi nas Szostak w swych akwarelach. Gdy w szkłach daje nam najszlachetniejszą syntezę, tu — odtwarza prawdę życiową z życia góralskiego bezpośrednio z całą tężyzną i pięknem szalonego ruchu jazdy weselnej, pędzących koni, sanek, drużbów i muzyki, a także w prześlicznych obrazach z minionych dni, z powstania Chochołowskiego...

Wyzyskuje tu doskonale białe tło papieru, rzucając śmiało plamy lekkiemi dotknięciami pendzla, nigdy niepoprawionemi, oddając po mistrzowsku zimowe dnie, w których blask słońca przyprósza drobny, lekko padający śnieg, już to roztacza halne mgły i opary po świeżych deszczach.

Tak w szkłach, jak i w akwarelach łączy artysta realizm właściwy każdej sztuce ludowej, ze szlachetnym idealizmem, bez którego nie może być mowy o prawdziwej, wyższej twórczości!

W r. 1931-ym odznaczony został na wystawie Salonu dorocznego w Zachęcie w Warszawie zaszczytnem wyróżnieniem, zaś w 1933 r. otrzymał nagrodę miasta Zakopanego za piękny obraz p. t. „Popas nocą“.

Zakopane, w maju 1933. *E. Kłoniecki.*

Hr. Władysław Zamoyski, syn Jenerałowej Zamojskiej, założycielki zakładu „Szkoły domowej pracy“ w Kuźnicach, zasłużył się Narodowi przez zachowanie dlań od zniszczenia i przekazanie na wieki najpiękniejszych zakątków Tatr.

Wykonał Jan Rykała artysta - malarz z Zakopanego, wybitny plastyk i rzeźbiarz. Od roku 1911 wystawia swoje prace w kraju i zagranicą. Obrazy jego tchną życiem i przemawiają do duszy.



Maska, gips patynowany.

EUGENJUSZ PAWŁOWSKI.

TANIEC GÓRALSKI

FRAGMENT.



... Staszek, dzierżąc Marysię za rękę, przepchał się przez tłum na środek izby w grono tańczących. Zrzucił cuhę na szynkwas. Objął dziewczynę wpół, ona oplotła mu szyję rękami i jęli kołować. A tańczyli tak zamaszyście, z takim wdziękiem zgrabnych przegięć, rzutów głową a hardych przytupywań, że się aż trochę wolnego miejsca koło nich zrobiło. Stojący dokoła usuwali się nabok, by się lepiej przyjrzeć, co to za śmiżny chłopak i świarna dziewczyna tak się obracają.

Ale Staszkowi znudził się wnet monotonny taniec. Stanął przed muzyką i wrzasnął:

— Hej, muzyka! Krzesanego!

Zdziwione pary tańczących przystanęły i usunęły się nieco nabok, muzyka przestała grać. A Staszek Pokusa wystąpił naprzód i stanął rosły, śmiżny, wyprostowany tuż przed muzyką. Rzucił w basy kilka dudków, podparł się pod bok i wyciągnął donośną, skoczną melodję:

Zakukała kukułecka wśród zielonéj ubocé,
Jo se pódem do dziéwcyny, co siwiućkie ma ocy!...

Muzykant, grający prym, podchwycił wlot melodję, którą sobie tancerz „ozkazał" i wyciął rzęsistą, rąbaną nutę od ucha, a bas i sekund zawtórowały mu raźno. Słuchaczy i widzów ogarnął czar dojmującej góralskiej muzyki. Jeden z towarzyszy Staszkowych „wyzwyrtał" mu Marysię do tańca, obracając ją kilkakrotnie wokoło, a Staszek pochylił głowę naprzód, tupnął kierpcami o ziemię i, spojrzawszy na nogi, zaczął niemi przebierać zrazu wolniej, potem coraz szybciej i szybciej, cyfrując kierpcami po podłodze przedziwne linje, koła i zygzaki, że mu się ino pięty migały. A co chwilę uderzał jedną nogą o drugą, to znów ręką klasnął się błyskawicznym ruchem po kierpcach z jednej i drugiej strony, to tupnął nogą o ziem, świsnął na palcach, to znów wyskoczył wysoko wgórę — i ciął piętami w ziemię i migał nogami coraz prędzej i krzesał kierpcami podłogę, że już nieporada było rozeznać, gdzie nogi, gdzie ręce, gdzie podłoga, że nie podobna było uchwycić oczyma tego ruchu szalonego, wściekłego... I tańczył tak



Ostatni kobziarz Podhala Stanisław Mróz z Poronina.

Staszek i krzesał z nieprawdopodobną szybkością i wprawą, aż się zapamiętał całkiem w onym tańcu i zapomniał — zda się — o świecie całym, aże pot lał się z niego strugami, a skrzypkom smyczki się darły na strzępy od onego grania... A obok niego, podparłszy się pod boki, strojna i barwna niby motyl, zgrabna, „kopiata" różową spódnicą, kręciła się jak wrzeciono Marysia, boczkując tancerzowi. Czasem przechyliła wdzięcznie odkrytą główkę wbok i spojrzała na nogi tańczącego, czy mu dobrze idą i boczkowała dalej, szum czyniąc koło siebie. Zacudowali się widzowie i piękności tancerki i onej biegłości tancerza.

— Djeboł, cy co? — mruczeli gazdowie ze zdumieniem.

— Dzis, jaki śwarny! — szeptały góralki — Joby go zalubiéła...

A stare gaździny, co zdołały dojrzeć przez tłum, jeno gęby poozwierały i wytrzeszczały ślepia, co się to robi w tej karczmie. A Staszek hulał i krzesał bez pamięci, zatrzymując się jeno czasem przed muzyką, by nową piosnkę zanucić. A Marysia boczkowała z zapałem, to zbliżając się do tancerza, to oddalając zalotnie... A on gonił ją taneczną gonitwą...

Chłopakom aż oczy wyłaziły, tak im się zwidziała ta śwarna góralka, że niejedenby se z nią potańczył. Aż naraz wyskoczył na środek, czerwony cały, Karol, Śliwą zwany. Podskoczył i przyklęknął ku ziemi, kłaniając się nisko kapeluszem: prosił tancerza o pozwolenie „wyzwyrtania" tanecznicy. Ale Pokusa ino głową poruszył przecząco, rzuciwszy nagły, gniewny błysk oczami. Tupnął nogą i wyciągnął ramiona ku dziewczynie, a ona, okręciwszy się w kółko jak fryga, wpadła prawie w jego ramiona. Muzyka ustała grać na chwilę, a Staszek zanucił zdyszanym, nierównym głosem:

Zielona lipka i jawór,
Cyjez to dziéwce, Boze mój?

I zakończył „zwyrtanym", okręcając się z tancerką wokoło, aż wreszcie, tupnąwszy piętami o ziemię, stanął jak wryty. Już też i muzyka przestała grać, bo skrzypkom doznaku palce zdrętwiały.

Pomruki uznania i zadowolenia rozległy się w gromadzie. A Staszek, uznojony, ale promieniejący radością życia i triumfem swej zgrabności, rzucił do basów srebrną monetę i wpół ująwszy Marysię, aż czerwoną ze zmęczenia i upojenia, szedł ku ławom i stołom.

* * *

STAW SMRECZYŃSKI.

Z pierścienia smagłych świerków, co żywicą dyszą,
niby jakaś bezcenna, kryształowa kruża —
staw Smreczyński lustrzane oblicze wynurza,
upojony swą pięknością i błękitów ciszą.
Nawet trzciny swych skroni do snu nie kołyszą,
chociaż zwolna się chyli słońca złota róża
poza zbocze Ornalcu i tatrzańskie wzgórza,
które okrzyk podziwu dwakroć w sobie słyszą! ....

Mimowoli zwalniasz biegu i patrząc w zachwycie,
na gór zbocza, na smreki z tem zwierciadłem gładkiem,
w którem ujrzał, prócz nieba, swej duszy odbicie —
Łzy, cisnące się do oczy, ocierasz ukradkiem,
jakbyś tutaj, ponad stawem, w tem zaciszu błogiem —
znalazł szczęście ... ukojenie — i rozmawiał z Bogiem! ...

E. Kłoniecki.



Zakopane K. Kłosowski

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

S. O. S.

„RATUJCIE DUSZE NASZE!“

(Ciąg dalszy).

— Bój się Boga! ma pensję o czterdzieści złotych większą od ciebie!

— Ale większe wydatki, — stwierdziła pogodnie Jadzia.

Tomasz obrócił się w fotelu i spojrzał na nią bystro.

— Niby jakie? — powiedz odrazu, że wyrzuca wszystko na szmatki!

Siostra milczała lojalnie. Brat ciągnął z rozdrażnieniem:

— Dawno już uważam, że powinno się na nią wpłynąć... Zostawiamy jej zbyt wielką swobodę, do której, jak wynika, nie dorosła, choć jest starsza od ciebie... Zdumiewa mnie nieraz, że człowiek myślący, może tak równie bezmyślnie i próżniaczo jak ona spędzać życie.

— Pracuje przecież w biurze...

— Cóż stąd? Pracuje, bo musi... Odrabia zajęcie jak pańszczyznę. Ale pozatem? Co robi? O czem myśli? Czem się zajmuje? Jeżeli czyta, to głupie powieści, koniecznie sensacyjne... Jeżeli mówi, to o szmatach lub gwiazdorach. Jeżeli marzy to o dancingu... Z przerażeniem nieraz myślę, co będzie, jeżeli zacznie robić znajomości na swoją rękę. Ładne one będą... Dopieroż zaczną się sypać na nas zmartwienia!

— A właśnie... zaczęła Jadzia z wahaniem.

Muzyka umilkła. Tomasz dał znak siostrze, by była cicho, włączył mikrofon i spokojnym dźwięcznym głosem zapowiadał dalszy ciąg programu. Znieruchomiała na krześle harcerka, patrzyła nań z ciekawością. Zawsze jednako zdumiewał ją i oszałamiał przedziwny fenomen radja, fakt wszechobecności głosu. Oto przed chwilą rozmawiali tu sobie z Tomaszem o swoich najosobistszych sprawach, tak doskonale izolowani od reszty świata, tak bezpieczni przed czyimkolwiek podsłuchem przez ciężkie czerwone kotary. A oto nieznaczne przesunięcie ledwo zauważalnego guzika i cały świat może słyszeć ich najcichszy bodaj szept.

Jej mimowolne chrząknięcie, szelest poruszonych na biurku papierów doleci uszu słuchaczy, oddalonych o tysiące kilometrów. Przepłynie nad oceanem niezagłuszony przez huk fal. Wśród straszliwej wrzawy wielkiego miasta dotrze wyraźny i czysty choć tak wątły. A cóż będzie, gdy niebawem wślad za głosem pójdzie obraz, gdy telewizja będzie równie udoskonaloną jak radjo? Czy nie jest cudownem, lecz zarazem przerażającem skasowanie odległości? A jeżeli można dowolnym rozkazem pchnąć w przestrzeń obraz i dźwięk, to czemu nie miałaby za niemi podążyć woń? W rozpłakaną jesienną szarugę, gdy zmysły są chore z tęsknoty za latem i słońcem, wystarczy nastawić apa-

rat by zobaczyć kwitnące gaje południowe, poczuć ich zapach... Czyż jakakolwiek bajka wymyśliła podobne temu czarodziejstwo!?

— Co zaczęłaś mówić? — zapytał Tomasz, wyłączywszy ponownie zaciszne studjo z reszty świata.

Jadzia ocknęła się z marzeń.

— O czem?.. Aha, o tem... ale kiedy... nie wiem, czy powinnam to powiedzieć?

— Naturalnie, że powinnaś — odparł z rozdrażnieniem. — Rozumiem, o co ci chodzi: nie chcesz mówić czegoś złego o Kocie. Oceniam tę dobrą intencję, ale konsekwencje jej mogą być najgorsze. Polityka ukrywania nie dała jeszcze nigdy dobrych skutków.

— Powiem wszystko, — decydowała się Jadzia. Otóż Kota chodziła zawsze dawniej do tej swojej przyjaciółki Funi, pamiętasz tej, z wyskubanemi brwiami, z której żartowałeś kiedyś, że taka niemądra... Z Funią szły razem do kina, albo na spacer... teraz ona po dawnemu mówi mi, że idzie do Funi, ale... jej tam niema!

— O do licha! Skąd wiesz?

— Bo spotkałam wczoraj Funię na ulicy i pytała mi się, czy Kota nie chora, bo już jej więcej jak dwa tygodnie nie widziała...

— O, niedobrze! I co dalej?

— Nic dalej, Więcej nie wiem.

— Kocie nie mówiłaś?

— Nie. To tak jakoś przykro i wstyd.

Brat zamyślił się głęboko. Pewnie, że przykro i wstyd. Każdy człowiek, choćby nasz najbliższy krewny jest wolną niepodległą jednostką; mającą prawo do kierowania swem życiem, nie lubiącą cudzego wglądania we własne sprawy. Zawsze może powiedzieć: Zasie wam odemnie: To robię, co mi się podoba, a skoro w niczem przez to nie naruszam waszych spraw — czego chcecie odemnie? Szanować trzeba człowieczą wolną wolę każdego.

Ale gdzie jest granica między poszanowaniem wolności osobistej bliźniego, a karygodnem pobłażaniem, o którem sam przed chwilą mówił, że może przynieść najgorsze konsekwencje?

— Jutro z nią pomówię, — rzekł krótko. — O której godzinie będziesz w domu, bo chciałbym, żebyś przytem była.

— Od czwartej jestem wolna — nie mam jutro żadnej zbiórki — odparła Jadzia z mimowolnem westchnieniem. — Jakaż to będzie przykra i ciężka rozmowa!

— A co z tym małym? zagadnęła po chwili.

— Na razie szukamy kogoś pewnego, komuby można go powierzyć z przekonaniem, że nie będzie chłopca głodził, zadręczał robotą i demoralizował... Czy takiego znajdziemy?

— Napewno — stwierdziła optymistka Jadzia.

Nieświadoma grożącej jej interwencji rodzinnej, Kota przeżywała błogie chwile zupełnego zadowolenia. Gdyby jeszcze mogła sobie kupić tę piękną wiśniową suknię z modnego „flamisolu", której wizja za szybą nawiedzała jej sny po nocy — nie wahałaby się nazwać zupełnie szczęśliwą. Ilski asystował jej wiernie, codziennie oczekując przed bankiem na jej wyjście z biura, ku niemałej zazdrości koleżanek. Wieczorem spotykali się znowu w cukierni i szli do kina, lub na spacer. Przechadzali się po zacisznych alejach miejskiego parku, przedstawiając doskonały obraz pary zakochanych. Kota paplała o byle czem, nie wątpiąc, że wszystko, co mówiła, musi wywoływać jednaki, zachwyt w towarzyszu. Zbyt mało inteligentna, by patrzeć krytycznie, nie zdawała sobie sprawy z tego, że w rzeczywistości nie zna go zupełnie. Wysłuchiwał cierpliwie jej bezładnej gadaniny, (ona określała ją w myśli jako „szczebiot"), przerywając od czasu do czasu beznadziejnie banalnym, lecz zadawalniającym ją całkowicie komplementem, korzystając z przerwy, by nawiązać rozmowę do jedynego tematu zdającego się pochłaniać go istotnie: do gmachu Banku Stowarzyszonych Stowarzyszeń, w którym pracowała Kota.

C. d. n.

IGNIS.

UŚMIECH ŻYCIA

A jednak widzę teraz, że była racja czuwania nad atmosferą moralną wśród młodzieży.

Nieraz rozżalone i oburzone biegły do ks. Prefekta, rozstrzygać wątpliwości, czy grzechem jest miłość, czy wolno się kochać?...

I pomimo zakazu — pisywały, a w tych listach ileż było nieraz kłamanych słów, pozy, jakie szafowanie najpiękniejszych uczuć. A czasami nawet grzeszne rozbudzanie zmysłowości, tak zwany flirt, który jest niczem innem jak okazją do grzechu, oswajaniem się z nim... igraniem z niebezpieczeństwem... Prawdziwe uczucie zdarza się w tych szkolnych czasach, rzadko, bo brak nam było dojrzałości, poważnego zrozumienia tych uczuć.

Dzisiaj wszystko stanęło przede mną jasne i zrozumiałe, a zarazem pytanie niepokojące... Czy moje uczucie jest z rodzaju tamtych, parodją miłości?

Nie — po trzykroć nie. — broniło się zranione w swej dumie serce. Właśnie dlatego przyszły na myśl tamte pół i ćwierć uczucia, że to, które czułam, tkwiące mocno w piersi, jakże było różne od tamtych! Zdaje mi się, że stałam się odrazu starszą, że jakaś wielka uroczysta odpowiedzialność zaciężyła nade mną...

Dojrzałam w paru minutach. Ale jakże czułam się rozczarowaną. Myślałam, że zbudzenie się miłości w sercu — to świt nowego życia, jakaś pełnia szczęśliwości... A tymczasem?

Zdanie sobie sprawy z tego, że kocham pociągnęło zaraz za sobą to drugie spostrzeżenie groźne — wprost tragiczne: „kochasz Romka, ale on nie ciebie kocha, lecz Zochnę"!

Skąd, jak, przyszłam do takiej pewności jasnej i nie podlegającej krytyce — nie wiem? Tak mówił rozum, chłodna objektywna obserwacja, skojarzenie różnych spostrzeżeń... ale z tego wniosek dla mnie jaki? Co za powikłania, sprzeczności! O Matko! czy ja potrafię znaleźć wśród tych ciemności jasną drogę obowiązku?

Rodzice pragną naszego małżeństwa — to pewne. Słowa niani dały mi klucz do rozwiązania niejednej zagadki, przypomniały się też listy księdza proboszcza, w których niejednokrotnie łączył moje imię z Romkiem. Wszystko teraz rozumiem, prócz jednego. Co Romka łączy ze mną, jakie są jego uczucia, czy wie o projektach rodziców moich i pragnienie — swoich, tych z za grobu?

O jakże byłabym wolała wrócić do dawnej nieświadomości. A może się mylę? Czyż może kogo dziwić, że kocham Romka, skoro od wczesnego dzieciństwa przyzwyczaiłam się mieć go koło siebie. Czy rodzony brat mógłby otaczać mnie większemi dowodami przywiązania? Cóż więc dziwnego, że przylgnęłam doń sercem...

Nie, nie to jest dziwne, tylko rodzaj mego stosunku do Romka teraz, gdy już dorosłam, raczej może zastanawiać.

Gdyśmy się rozstawali — byłam jeszcze dzieckiem, uczucia moje dla Romka były wtedy silne, ale dziecinne prawdziwie siostrzane, a dziś czy są takie? Dawniej dumą napełniała mnie ta nazwa siostrzyczki jakiej często używał Romek — dzisiaj to samo drażni mnie, nawet skrycie boli. Naturalnie tylko względem pani zdobywam się na taką głęboką analizę.

Tych paru miesięcy od czasu jego powrotu ileż mnie nauczyło. Dzisiaj czytam w swem sercu, jak w otwartej księdze... Świadomość istnienia czegoś nieznanego dotąd w sercu, uczucia o formie i skali nowej wzbudziła się we mnie z chwilą przyjazdu Romka. I jego uderzył mój dziwny sposób przywitania, a był zupełnie impulsywny. Żegnałam go — jak dziecko wśród łez i uścisków,

ale witać — musiałam już jak dorosła, już pod wpływem wewnętrznego przeobrażenia się uczucia siostry, w uczucie kobiety. Był to wtedy jeszcze instynkt, dziś jest pewna świadomość.

Już wtedy delikatnie ostrzegł mnie on, gdy podczas pamiętnej rozmowy z Zochną, w której żartobliwie oświadczyła możliwość... zakochania się w Romku, uczułam w sercu nieznane przedtem uczucia podświadomego lęku... jakby katastrofy, która mogła mi zadać cios.... To był pierwszy dzwonek na alarm. A potem... potem... Ten odczuwany względem Zochny niesmak z jej zachowania się zbyt swobodnego, te ciągle nachodzące pytania na tle ich stosunku, pewna oziębłość dla niej, a nieraz krytyka u mnie, znanej z wyrozumiałości... Skąd to wszystko płynęło?

Trzeba mieć odwagę spojrzenia prawdzie w oczy i stwierdzenia dwóch odkryć: miłości dla Romka i — zazdrości względem Zochny.

Ale skonstatowanie takich faktów, a raczej stanów duszy — to jeszcze nie wszystko, trzeba iść dalej.

— Kocham — to twierdzenie faktu, ale czy mi wolno kochać? Pierwsza prawda, ot byt tego uczucia niezależny ode mnie, ale stan jego trwania, stan dalszego bytu, to już zależne od mojej woli.

I znów zadaję to samo pytanie. Czy mi wolno kochać, jeśli to samo uczucie piastuje i druga osoba? — Naturalnie, o ile tamta kocha bez wzajemności.

C. d. n.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Ks. Dr. Polz. „Ave maris stella". Czytanki na maj. Nakład księg. św Wojciecha, str. 195, cena 4 złote.

Książeczka ta, przeznaczona na maj, gdy tłumy śpieszą do świątyni Pańskiej by oddać hołd Królowej nieba i ziemi, zawiera serdeczne proste słowa o roli Marji w dziele uświęcenia dusz naszych.

Autor chce nam ułatwić poznanie Marji, przypomnieć, że Ta, którą jest „Gwiazda" morza": „Bramą niebios" wskaże nam pewną drogę do celu, gdy Jej zaufamy jako Pani i Orędowniczce. Dziełko, ułożone przez gorącego czciciela Marji, napisane w hołdzie za doznane łaski, ożywić może nabożeństwo nasze, szczególnie w maju, miesiącu kwiecia i słońca.

M. Al.

Prof. Dr. Władysław Szater
Sprawozdanie z działalności Państwowej Rady Ochrony Przyrody w r. 1932.
(Nakładem P. R. O. P., Kraków 1933).

Obok spraw ustawodawstwa, organizacji, współpracy z analogicznemi organami zagranicą itp. przedstawia sprawozdanie zdobycze na terenie Polski w roku ubiegłym, a mianowicie doniosłe dla Parku Narodowego w Tatrach nabycie dóbr Murzasichle, znaczne sukcesy w organizacji Parku Narodowego w Pieninach, fakt znamienny i dobrze wróżący, iż Park Narodowy w Białowieży zwiedzany jest coraz liczniej — w r. 1932 zwiedziło go 10.000 osób, wśród których byli m. innemi goście zagraniczni aż 32 narodowości — obecnie Park nietylko opłaca już sam koszta swego utrzymania, ale posiada i czysty dochód. Na Czarnohorze powiększony został znacznie istniejący tam już rezerwat; z dwu, dotychczasowych oddzielnych rezerwatów w górach Świętokrzyskich utworzony został jeden Park Narodowy imienia Stefana Żeromskiego; nadto z drobniejszych zdobyczy ochrony przyrody zaznaczyć trzeba nowy rezerwat w Lipcach pod Skierniewicami (starodrzew bukowy), zatwierdzenie rezerwatów Świteziańskiego i w Puszczykowie i Ludwikowie pod Poznaniem, nadto utworzenie paru rezerwatów w dobrach prywatnych, m. in. rezerwat imienia Jana bar. Götz—Okocimskiego w Morgach pod Kamieniem.

Obyż ten rok pomyślny miał wiele, wiele dalszych pomyślnych lat po sobie.

APOSTOŁ SAHARY — KAROL HR. DE FOUCAULD.

Na niewielkiem wzniesieniu, koło osady Tamanrasset w głębi Sahary, stoi samotny, wysoki, prosty krzyż. Pod nim spoczywają zwłoki zamordowanego przez fanatycznych Senusystów brata Karola — »chrześcijańskiego Marabuta«, jak mówili Arabowie, — bohaterskiego męczennika i pustelnika — apostoła, a może świętego, jak mówi katolicka Francja. Jaką drogą szedł młody, świetny i błyszczący porucznik huzarów, wicehrabia Karol de Foucauld, by kres swego życia znaleźć w pustelniczej celi, w sutannie księdza zakonnika?

Karol de Foucauld, urodzony w 1858 roku odebrał jako potomek starej, arystokratycznej rodziny francuskiej staranne wychowanie, a wolą dziadka pułkownika de Morlet było, by Karol poświęcił się służbie wojskowej. Niestety wychowaniu temu brakło religijnych podstaw — a bujny temperament młodego adepta sztuki wojennej znajduje swój wyraz w wesołych i pełnych dowcipu, lecz mało budujących zabawach z kolegami. Z nienadzwyczajnemi postępami kończy szkoły w St. Cyz, oraz École de Cavallerie w Saumuz i jako młody porucznik zostaje przydzielony do 4 pułku huzarów, przemianowanego niebawem na 4 pułk strzelców afrykańskich. Los łączy go wtedy poraz pierwszy z Afryką.

Młody oficer, 22-letni porucznik nie cieszy się dobrą reputacją. Wybryki jego zmuszają przełożonych do udzielania mu szeregu napomnień. Nie odnosi to jednak żadnego skutku. Nie mając moralnych podstaw, traci wiarę, a utraciwszy miarę swych czynów — za niekarność zostaje usunięty z pułku. Tymczasem burzą się muzułmańskie plemiona Sahary. Pułk Karola wyrusza w pole, wieść ta budzi w młodym poruczniku zew rycerskiej tradycji. Na gorącą prośbę minister wojny zezwala, by Karol de Foucauld połączył się z pułkiem. W ogniu walki przetwarza się rozbawiony porucznik w bohaterskiego, a nieustraszonego żołnierza, hartuje swą wolę — uczy się samozaparcia i powściągliwości. Kampanja ta staje się początkiem drogi powrotu ku Bogu.

Tajemniczy urok mało wówczas znanej Afryki, powiew gorących piasków Sahary ogarnia Karola de Foucauld — pragnie on dotrzeć w głąb serca Czarnego Lądu, zbadać nieznane tereny. Umie teraz chcieć. Kiedy więc odmawiają mu urlopu, bierze dymisję i przebrany za żyda, mając za przewodnika starego bywalca afrykańskich bezdroży żyda Mardochée'a, niepoznany w towarzystwie muzułmańskich służących — Arabów przebiega kraje Marokka. Rezultatem tej ryzykownej i niebezpiecznej podróży w maju 1884 r. zakończonej — to dzieło »Recounaissance au Mara«, przynoszące autorowi złoty medal paryskiego instytutu geograficznego. De Foucauld staje się sławnym i wielkim. Ale tajemnica Afryki inne jeszcze przynosi mu dary. Bezkres pustyni kieruje wzrok jego ku gwiaździstemu niebu i domaga się rozwiązania zagadnienia istoty bytu.

Arabowie — muzułmanie padali w proch pustyni i z twarzą ku wschodowi zwróceni, przemawiali do Boga — choć oni, niewierni, Boga prawdziwego nie znali. Coś budziło się w duszy Karola de Foucauld. Droga do nawrócenia była otwartą, sam zaś moment odzyskania Wiary — wielki w swej prostocie. Kiedyś w 1886 roku, będąc już w Paryżu, udał się Karol de Foucauld do kościoła, prosi księdza o radę — bo nie wierzy. Ksiądz Hurchin proponuje spowiedź św. I nawrócenie dokonane.

Wbrew oczekiwaniu ogółu, myślącego, że Karol kontynuować będzie swe podróżniczo-naukowe badania, de Foucauld, po powrocie z pielgrzymki do Ziemi Świętej wstępuje do zakonu Trapistów. Przyjęty do postulatu odznacza się niebywałą pokorą i staje się budującym przykładem dla otoczenia. Był to rok 1890.

Wyświęcony na kapłana udaje się do miejsc, które dwukrotnie jako oficer i badacz-podróżnik stopą swą przemierzył. Teraz idzie w białym habicie z czerwonem sercem i krzyżem wyszytym na piersiach, idzie jako brat Karol od Jezusa nieść Dobrą Nowinę i Żywy Chleb Boga — Człowieka nędznym mieszkańcom piaszczystych pustkowi.



Ojciec de Foucauld w swojej kapliczce — namiocie.

Osiada w Beni Abbes oazie wśród pustyni, a zarazem wojskowej stacji francuskiej armji. Zakupiwszy niewielki obszar ziemi, buduje »dom Boży«, gdzieby odprawiać mógł Świętą Ofiarę. Sam jeszcze chaty nie ma, sypia więc w kościółku u stóp Ołtarza — jako wierny, a pokorny sługa Stwórcy. Opiekuje się kim może — niewolnikami, podróżnymi i żołnierzami, z których niejeden otwiera mu swą duszę i w pojednaniu z Bogiem znajduje ukojenie długoletnich zgryzot. Postać O. Foucauld staje się popularną wśród muzułmańskich Arabów, podbija ich serca jego bezkresna dobroć — pociąga jego ubóstwo.

Mussa Ag Amastau, wódz dzikich Tuaregów, zaprasza brata Karola do siebie, do górzystej krainy u stóp niebosiężnych gór Hoggar. Karol de Foucauld udaje się w głąb Sahary, osiedla się w Tamanrasset, niewielkiej osadzie na wysokości 1400 m nad poziom morza. Pracuje tam nad podniesieniem moralnem Tuaregów, i tam dobiega kresu swej ziemskiej wędrówki.

Dnia 1 grudnia 1916 roku — w czasie walk arabsko-francuskich O. Foucauld zostaje podstępnie zamordowany przez watahę fanatycznych muzułmanów.

Ginie na posterunku wśród ludu afrykańskiego, który tak ukochał.

Miłość jego ku Tuaregom i chęć pozyskania ich dla Wiary Prawdziwej przetrwała dłużej niż życie ziemskie. Zamiłowany w badaniach naukowych przygotował słownik i gramatykę tuaregską, przełożył na tuaregski język cztery ewangelje, rzucając naukowy posiew pod pracę przyszłych misjonarzy. W rok po męczeńskiej śmierci, po zakończeniu walk, ciało O. Foucauld pochowane zostało uroczyście przez jego przyjaciela i towarzysza, generała Saperrine, a krzyż zatknięty na mogile pustelnika i apostoła Sahary jest może znakiem, że niedługo zamiast półksiężyca meczetu, zapanuje nad pustynią i jej oazami symbol Wiary Prawdziwej — Krzyż Chrystusowy Katolickiego Kościoła.

Marja Pelczarowa.

Dary na Misję polską w Charbinie złożyły:

Uczenice gimnazjum SS. Urszulanek z Lublina jako dochód z loterji 500 zł. — z Krakowa 300 zł. Uczenice gimnazjum SS. Ursz. w Tarnowie 180 zł. Ksiądz Stańczykiewicz 100 zł. — Gimnazjum SS. Urszulanek w Rybniku 50 zł. — Za powyższe dary SS. Misjonarki przesyłają serdeczne »**Bóg zapłać**«!

JUTRO

DZIAŁ SAMODZIELNIE PRZEZ MŁODZIEŻ REDAGOWANY



ZACHÓD SŁOŃCA.

Spokój... Cisza bezgraniczna...
Już zachodu chwila bliska...
Płynie z lasu woń żywiczna
Idzie smętek przez ścierniska.

Czasem wietrzyk muśnie czoło,
Czasem szepnie coś osika,
Czasem szum powstanie wkoło
Wtedy smętek szary znika...

Przed zachodem, przed wieczorem
Toń jeziora złotem błyska,
Szumią trzciny nad jeziorem,
Wraca smętek, poprzez rżyska...

Marysia Huberówna
ucz. III. kl. g.

Z Zakopanego

Będąc w niższych klasach, planowałem wycieczkę do Zakopanego. Lata płynące szybko, przyniosły spełnienie mych gorących pragnień. Znalazłem się na Gubałówce, jakoby na wspaniałem podjum do oglądania cudnych obrazów natury. Wrażenie, jakiego doznałem na widok przeogromnych masywów skalnych, pokrytych do połowy czernią lasów, pozostanie mi na całe życie. Ogrom i piękno zlały się w jeden przecudny akord, który ponosił duszę wzwyż, kierując ją do stóp Najwyższego.

Majestat Boga z całą godnością i powagą wielką reprezentują nasze kochane Tatry.

Duch wniebowzięty, tembardziej, że ciało uczuło się dziwnie lekkie, świeże, jakby wyzwolone z pod surowego autorytetu praw fizycznych, a raczej z pod jarzma, jakiem go przygniata życie miejskie pełne kurzu i zaduchu. By wypowiedzieć, co dusza w takich chwilach czuje, należałoby szukać wyrazów w słowniku Kasprowicza, Makuszyńskiego, Orkana i innych miłośników Tatr, ale niestety nie da się — taki słownik trzeba sobie samemu stworzyć wielką miłością piękna, jakiem ziemia jaśnieje i tego, jakiem jest piękno Boże, którego piękno ziemskie jest tylko słabym odblaskiem.

Jan W. Kołcon
VIII gimn.

Dzień sportu



— Zośka! Jutro zawody!

— No, wiem! — odpowiadam podnieconej, o rok starszej koleżance z 4 kl.

— Chcesz się założyć? ja twierdzę, że nasze wygrają – mówi Hala, wyciągając rękę do ubicia zakładu.

— Właściwie ja też jestem pewna, że nasze zwyciężą, a nie seminarzystki, ale co mi szkodzi założyć się? Podaję więc rękę. Zakładamy się o pięć chrupiących karmelków po 2 grosze.

W klasie mówi się teraz tylko o zawodach, liściki kursujące żywo na nudnych lekcjach też pełne są zawodów; słowem nic, tylko zawody, dzień sportowy i jeszcze raz zawody.

W przeddzień zawodów dziedziniec nasz pokreślony niebieskiemi, czerwonemi i żółtemi linjami, tworzył na szarym piasku barwną mozaikę. Wszystkie uczenice przetransportowano do ogrodu, by przypadkiem nie uszkodzić jakiej linji. Byłyśmy złe, że musimy się wyrzec gonitwy. Podwórze nazwałyśmy polem geometrycznem, Julcię zaś, która strzegła, by żadna z nas nie przestąpiła zakazanej granicy, „stróżem Matematikusem".

* * *

Wreszcie nadeszła upragniona sobota, a z nią dzień sportowy i zawody. „Uroczystość" właściwa miała się zacząć o 9 g., ale my już o 8 g. byłyśmy w klasztorze. Cała „paka" trzecioklasistek zajęła najlepsze miejsca na balkonie, bo my, sztubaki, nie brałyśmy nigdy udziału w zawodach. Byłyśmy zdenerwowane. Ja przynajmniej co chwila patrzałam na zegarek Jaśki, gryzłam zapamiętale twarde, kwaśne cukierki i szczypałam leciutko najbliżej siedzącą koleżankę. Obok nas siedziało kilka seminarzystek. Co chwila przybywali nowi widzowie, niosąc stołki i usadawiając się w najdogodniejszem miejscu. Ożywiony gwar, czerwone rumieńce na wszystkich prawie twarzach, błyszczące oczy świadczyły najlepiej o naszem podnieceniu. Cała galerja dzieliła się na dwa obozy: gimnazjalistek i seminarzystek. One były pewne zwycięstwa swoich, my przeciwnie, wierzyłyśmy mocno, że nasze, jak zwykle, wygrają.

Nagle odezwał się krótki gwizdek. Wszystkie uczenice umilkły jak na komendę i całe zamieniły się w wzrok. Teraz siatkówka!

Za naszą nauczycielką gimnastyki wkroczyły na boisko równym, żołnierskim krokiem dwa szeregi uczenic. Jedne w czerwonych bluzkach – nasze, drugie w niebieskich seminarjum. Ustawiły się.

Nasze zaczynają.

Janka z 8 kl. ujmuje mały bronzowy football. Gwizdek. Piłka robi łagodny łuk i spada na przeciwne pole. Odbijają ją one. Teraz my — znowu one. Upadła. Potoczyła się po piasku i różnokolorowych linjach. One, seminarzystki, spartaczyły. I znowu gwizdek.! Serwa! Krótka walka! Czasem słychać głos panny Janeczki: aut! siatka! siatka! aut!

Przy tablicy stoi jedna starsza uczenica i pisze punkty. Nasze górą! One! znowu nasze!

Jedna partja siatkówki skończona — nasze wygrały. Z balkonów i okien sypie się grad oklasków, gorących wykrzykników i wiwatów. Nasza panna Janeczka dostaje całą masę bukietów, róż, jaśminu, maków, goździków. Liczymy je: jeden, dwa, pięć. — Gwizdek! rewanż! znowu nasze górą! Zwyciężczynie siatkówki zdejmuje kilka aparatów. „jak one ładnie wyglądają" mówię do Hanki, patrząc na roześmianą grupkę z panną Janeczką w pośrodku. Już są uchwycone na 5 klisz. Rozbiegają się, gdy wtem wpada jak bomba nasza koleżanka Maśka, zdyszana, zziajana z aparatem w ręce. „Proszę! ustawić się jeszcze raz", mówi błagalnym głosem. One nie oponują. My, sztubaki, mamy więc także uwiecznione zwycięż-

czynie siatkówki na kliszy aparatu Maryśki, sztubaka z III kl.

Teraz chwila przerwy. Pędzę z Jaśką do szatni, gdzie rozbierają się z czerwonych, powiewnych bluzeczek nasze. — „Grałyście cudnie“ — mówię gorąco, do rozpromienionych starszych koleżanek. Śmieję się razem z niemi i duszę mistrzynię siatkówki — Irkę B.

Kwadrant.

Seminarzystki dodają otuchy swoim, by miały głowę na karku. W kwadrancie biorą udział dwa sztubaki: Zośka i Stefa, jesteśmy dumne, że i my przyczynimy się do triumfu i zwycięstwa naszych.

Znowu gwizdek, ale jakiś inny, więcej ostry, niż przedtem, przy siatkówce — teraz prowadzi je nauczycielka.

Seminarjum gra dobrze, bardzo dobrze, boję się, że wygra. Teraz nasze na królestwie. Bije jedna — szczur, druga — łapa — Niezdary nasze! — wybiega mi mimowoli z ust. O! teraz bierze do rąk palestrę Zośka, nasza Zośka! Zamierza się. Zamieramy na chwilę z ciekawości i ze strachu. Podbiła. Piłka poleciała jak ptak wysoko, odbiła się o dach klauzury i z rozpędem spadła na ziemię. Przez ten czas nasze zrobiły 5 słupków! Jest równo. Znowu odzywa się przeciągłe brawo, a na pannę Janeczkę sypiemy garściami kwiatów. Zośkę dusimy. Ooo! nasz sztubak uratowała honor gimnazjum! huraaa!!!

Teraz ma być jeszcze koszykówka, ale ja już nie zostaję, bo w grze mają brać udział tylko uczenice z seminarjum. Cóż mnie obchodzi czy wygra partja niebieska, czy czerwona? Przegrałam zakład na całej linji, ale i tak jestem zadowolona, że nasze wygrały!

Zosia Siudutówna
ucz. III. gimn.



LIPY

Szumią w parku stuletnim lip wielkie konary,
Kładąc cień na dach dworu, co jak one stary.
I sypią złote liście na gazon przed dworem
I w mgły się tulą białe jesiennym wieczorem.

— A kiedy cichy, złoty dzień jesienny gaśnie,
To lipy stare szepcą ziemi do snu — baśnie.
I przybierają postać tajemną, widmową
I stoją srebrnobiałe nocką księżycową.

Marysia Huberówna
ucz. III. kl. g.

I MY MOŻEMY.

Wpadam jak bomba do domu, rzucam teczkę i krzyczę od progu:

— Mamusiu! Bibljoteka! Ulicznicy! Książki!

Mamusia patrzy zdziwiona, nic zrozumieć nie może.

Zaczynam opowiadać, że tworzy się bibljoteka dla uliczników, że już dużo dziewczynek dało swoje stare książki i że ja też coś dać bym chciała.

W domu robi się wesoło, zaczyna się szukanie.

Odnajduję książki, o których dawno zapomniałam, które leżały bezużytecznie.

Jakieś bajki, powiastki, pisemka....

Wracam do pokoju i zabieram się do przeglądania. Prawie z każdą książką łączą mnie jakieś wspomnienia. Przypominam sobie, jak strasznie cieszyłam się temi książkami i jak czytałam je po kilka razy, bo żal mi się było z niemi rozstać.

Teraz już jestem dosyć duża, mam inne książki, więc cóż mi po bajkach?! Już się niemi nacieszyłam! Teraz niech się cieszą inni.

Idę jeszcze mamusię poprosić o pozwolenie i książki wędrują do uliczników.

W parę dni później przechodzę ulicą Krakowską. — Dzień śliczny. Słońce świeci jasno i wszędzie czuć wiosnę.

Idę pomału.

Naraz w bramie spostrzegam jakiegoś „Antka", czytającego książkę.

Co on może czytać?

Zaciekawiona podchodzę bliżej, ukradkiem zerkam w stronę książki. Poznaję! — Moje bajki! moje własne bajki! Jakie to dziwne! — Jest mi bardzo przyjemnie.

Cieszę się, że i my możemy zrobić coś dobrego dla tych „Antków".

Marysia Czerska
Kl. IV gim. SS. Urszulanek w Tarnowie.

NASZE „KOŁO KRAJOZNAWCZE".

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
„Sami nie wiecie, co posiadacie".

Uznając rację tej myśli W. Pola, postanowiłyśmy wstąpić w szranki koła krajoznawczego im. Ludomira Sawickiego, które od kilku lat istnieje w naszym zakładzie.

Zapisując się do tej organizacji, jako uczenice I-kursu cieszyłyśmy się przedewszystkiem na myśl o wycieczkach, które początkowo urządzałyśmy w okolice Tarnowa. Nie zastanawiałyśmy się nad celem koła i dopiero po kilku zebraniach i referatach przekonałyśmy się, że ma ono cel doniosły i piękny.

Wycieczki, dające nam moc wrażeń ukazują piękno ziemi naszej. Któreż z nas, stojąc nad Morskiem Okiem, potrafiłyby myśleć o Niemczech czy Włoszech i niemi się zachwycać, gdy u stóp naszych lśni źrenica Tatr, a nad głowami stoją nieme, pełne majestatycznego uroku Tatry!

I tutaj może najwymowniej sama przyroda ukazała nam cel instytucji K. K., przy podziwianiu bowiem cudów polskiej natury budzi się ukochanie tej ziemi, ukochanie tak prawdziwe i potężne, że, zdaje się, iż piersi rozsadzi.

Po pierwszej wycieczce tak bogatej we wrażenia z większym zapałem uczęszczałyśmy na zebrania K. K., na których referaty, dyskusje i przeźrocza pozwalały nam poznać i pogłębić wyobrażenie o piękności tych części Polski, których naocznie zwiedzić nie mogłyśmy! Zdawało się, że obrazy cudów polskiej natury wywoływały z niejednej piersi westchnienie ku ziemi, ku morzu, ku górom! Zapał wywołany wyobrażeniami o pięknie danej części kraju prowadził nas w krainę marzeń, aż wreszcie częstokroć dozwalał zrealizować plany i marzenia. Koleżanki zazdrościły nam możności uczestniczenia w wycieczkach i poznawania Ojczyzny, wnet więc kółko nasze przybrało dość poważny rozmiar.

Jedną tylko miałyśmy troskę. Nie wszystkim stan finansowy dozwalał na przedsię-

branie wycieczek! I tej hydrze urwano łeb! Dzięki Czcigodnej P. Dyrektorce i Komitetowi Rodzicielskiemu otrzymujemy subwencje, by mniej zamożne koleżanki miały możność dzielenia się z nami widokiem cudów naszej ziemi.

(Zaznaczyć należy, że samo K. K. posiada pewną sumę ze składek i oszczędności).

Mamy już poza sobą wycieczki: w Tatry, Pieniny i do Jaworzna. Poznałyśmy już Bałtyk i cud techniki polskiej — Gdynię.

Obecnie mamy zwiedzić Gorgany. Aby plany zrealizować, każda stara się drobnemi oszczędnościami zebrać odpowiednią kwotę.

Kochamy nasze K. K. dzięki niemu bowiem poznajemy Polskę i miłość ku Niej pogłębiamy.

Radzimy wszystkim czytelniczkom, aby zapisały się do K. K. (o ile nie uczyniły tego do dzisiaj) i odbyły wycieczkę w Gorgany, na której miłoby nam było zobaczyć się. Prawda? Zatem — „Dowidzenia" w Gorganach.

Henryka Jankowska
V kurs II pryw. semin. nancz. żeńskiego im. św. Jadwigi w Tarnowie

CO WIEDZIEĆ WARTO.

W dniu 8 maja Zgromadzenie Narodowe dokonało **wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Wybrano ponownie prof. Ignacego Mościckiego.**

W związku z wyborem Prezydenta dokonano **reorganizacji gabinetu ministrów.** Premjerem został b. minister W. R. i O. P. Janusz Jędrzejewicz, a tekę ministra rolnictwa i reform rolnych objął Nakoniecznikoff-Klukowski.

Lotnictwo polskie znów okryło się sławą. W raidzie lotniczym nad Afryką, Polacy (kpt. Kwieciński) uzyskali najwyższą nagrodę przeznaczoną dla cudzoziemców, ostatnio zaś kapitan **Skarżyński** dokonał przelotu ponad Atlantykiem, na małym samolocie konstrukcji polskich inżynierów Rogalskiego, Drzewieckiego i śp. Wigury — RWD 5.

Krakowianka, Jadwiga Jędrzejowska (AZS Kraków) zdobyła tytuł mistrzyni Londynu w tenisie.

Pielgrzymka chińska złożona z 8 biskupów i z osób świeckich przybyć ma **do Rzymu** 3 czerwca b. r. Przybyli asystować mają konsekracji kilku nowych biskupów chińskich, jakiej ma dokonać Ojciec św. II 2 czerwca. Przypuszczają, że w tym też czasie Ojciec św. eryguje kolegjum chińskie, utworzone z licznych alumnów chińskich studjujących obecnie w Kolegjum Propagandy.

Uniwersytet katolicki w Szanghaju założony w 1903 r. został obecnie oficjalnie uznany przez rząd nankiński. Uniwersytet ten posiada 4 wydziały: medyczny, prawa, architektury i literatury.

TREŚĆ N-ru 9:

Nr. 10 Czerwcowy poświęcony Śląskowi opracowuje Komitet redakcyjny Gimn. Rybnik, Al. 3 Maja 24.

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 8 ZŁ.
Numer niniejszy, powiększony **1 zł.**
Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.